

Nasza Gazetka

PISMO MIESIECZNE WYDAWANE PRZEZ TOWARZYSTWO DOM POLSKI W ZURYCHU

Nr 2(97)

MARZEC

ROK XII 1985



KLUB Tow. Dom Polski

TELEFON

302 31 88

Eisfeldstr. 6, 8050 Zürich
wejsie od Friesstrasse

Dojazd: Tram 14 do Eisfeld.
Tram 7, 11, 15 i Bus 62, 62,
oraz pociąg do Oerlikon.

J. KACZMARSKI

w Domu Polskim

Występ znakomitego piosenkarza będzie miał
miejsce w niedzielę, 17 marca o godz. 16.00
Wstęp 15.— fr., dla członków TDP — 10.— fr.
(dla tych, co zapłacili składkę 100 franków
— symboliczne 2.— fr.)

...abyśmy byli wolni od lęku

Sobota, 30 marca 1985, o godz. 19.30
w Klubie TDP

Wieczór Myśli

związanych z tragiczną śmiercią

księdza JERZEGO POPIEŁUSZKI

jazzpol

jazz aus polen

POLSKI JAZZ ENSEMBLE

Znakomity zespół jazzowy
Leszek Źądło, lead.ts.ss.ft.

Adzik Sendeki, piano

Bronek Suchanek, bass

Janusz Stefanski, drums

wystąpi w wiosennym turnee 1985:
im Frühjahrestournee 1985:

- | | |
|----------------|--|
| 16 marca/März | Jazz Meets Art, Maur
z/mit Liedermacher
JACEK KACZMARSKI |
| 17 marca/März | Ichterswil/SO (Six Trutt) |
| 18 (ew.20). 3. | Jazzschule St. Gallen
(Migros — Klubschule) |
| 21 marca/März | Bazillus, Zürich |
| 22 marca/März | Fischkopf, Konstanz |

Numer specjalny

Proces o zabójstwo księdza Popiełuszki dobiegł końca. Choć w krajach podległych totalitarnej władzy sowieckiej było to wydarzeniem bez precedensu, to na Polaków wywarło wrażenie jednolite: teatru, z którego dla uciemnionego narodu żadna nadzieja na poprawienie losu nie mogła wynikać.

Przynajmniej nie takiego nie leżało w intencji inscenizujących spektakl. Najważniejszą rzeczą było zachowanie twarzy, tak skompromitowanej, że do ratowania właściwie już nic nie było. A jednak... Dość dużą dozę (pozę?) rzekomej praworządności udało się wobec patrzącego innymi oczyma świata zainscenizować. Bo proces był przecież otwarty i choć prokurator z urzędu bardziej oskarżał zamordowanego niż morderców, to jednak mieli prawo głosu i oskarżyciele posiłkowi i świadkowie dla systemu niewygodni, z kierowcą ks. Popiełuszki, Chrostowskim na czele. Kamuflaż leżał na granicy perfekcji: choć z Polaków nikt nie wierzył w to, że zlikwidowanie krnąbrnego kapłana było prywatną inicjatywą kilku szczególnie zwyrodniałych oficerów SB, to pozory na zewnątrz wyglądały inaczej. Czyli, że system nie jest taki straszny, jak go malują. Ale dla znających go lepiej konkluzja jest jednoznaczna: mordercy nie zostali ukarani za zabicie człowieka, lecz za to, że nie wykonali zadania „czysto”. Oczywiście przestroga dla przyszłych oprawców w imię zwyrodniałego prawa.

A czy zbrodniarze odsiedzą rzeczywiście otrzymane wyroki — jest rzeczą drugorzędną. W Polsce nikt w to nie wierzy. Ma się prawo nawet przypuszczać, że za dobre zagranie roli w czasie procesu zostaną wynagrodzeni.

Dla nas, czujących z narodem polskim, sprawa ks. Popiełuszki jest sprawą szczególnej wagi, choć On nie był ani pierwszą, ani — z pewnością — ostatnią ofiarą systemu. Stąd też ofiarujemy Czytelnikom Naszej Gazetki NUMER SPECJALNY, poświęcony całkowicie pamięci bohaterskiego kapłana. Przewidziany numer marzec—kwiecień rozpada się w ten sposób na dwa numery osobne. Inne artykuły i aktualności znajdują się w numerze kwietniowym.

NUMER SPECJALNY otrzymują także Czytelnicy, którzy nie odnowili w tym roku prenumeraty. Prosimy o złożenie jednorazowego datku wysokości 4 sFr. Jeśli ktoś pragnąłby wznowić prenumeratę, proszony jest o datkę odpowiednio wyższą.

Informujemy również, że mamy w rezerwie pewną ilość egzemplarzy na zamówienia. Zainteresowani proszeni są o zwracanie się bezpośrednio do redaktora.

TADEUSZ WOJNARSKI

Unsere deutsch sprechenden Freunde bitten wir um Verzeihung! Dieser Nummer unserer kleinen Zeitschrift ist ausschliesslich dem ermordeten Priester Popieluszko gewidmet und nur in polnischer Sprache verfasst.



REKONSTRUKCJA

Toruński proces dobiegł końca. Zapadł wyrok. Krajowa prasa, radio i telewizja przynosiły przez cały czas trwania procesu obszernie sprawozdania, ale na ich podstawie trudno było odtworzyć spójny obraz wydarzeń. Relacje z sali sądowej, fragmenty protokołów śledztwa, zeznania świadków, wszystko to splątane, chaotyczne, wzajemnie sobie przeczące. Nawet uważny czytelnik nie mógł zorientować się w tym gąszczu. Wiadomo, że nie wszystko o czym mówiono na sali sądowej, znalazło się w relacjach prasowych. A ile faktów i nazwisk przemilczanych zostało przed sądem? W czyim interesie – i za jaką cenę – oskarżeni zmieniali swoje zeznania? Kto ukrywa się za owym enigmatycznym określeniem **góra**, które w śledztwie padało tak często, a pod koniec procesu zniknęło zupełnie z ich wypowiedzi? Te wszystkie wątpliwości nieprędko doczekają się rozstrzygnięcia.

Ale nawet z owych preparowanych relacji można wyczytać niejedno. Nie wszystko udało się wyretuszować. Nieliczni korespondenci zagraniczni, choć pozbawieni magnetofonów, których użycie zostało zabronione, zdołali poinformować świat o faktach, które komunistyczna propaganda za wszelką cenę usiłowała zataić.

Z tych niepełnych, celowo okaleczonych sprawozdań można próbować złożyć pewną całość. Jest w niej wiele niejasnych punktów lub nasuwających się pytań. Lecz nawet ten niekompletny obraz jest wstrząsający: 19 października Chmielewski, Pękala i Piotrowski nie pojechali za księdzem Popiełuszką aby go zabić – oni jechali „na akcję”. Na precyzyjnie przygotowywaną akcję, która planowana była już od kilku tygodni, a może nawet miesięcy. Księdzem Jerzym Popiełuszką zajmowali się bowiem od dawna. Piotrowski zeznał przed sądem, że pół roku wcześniej uczestniczył w próbie zniszczenia jego samochodu. Chmielewski brał udział w rewizji w jego mieszkaniu. Również „sensacyjne” znalezienie w domu

przyszłej ofiary nielegalnych druków i broni w 1983 roku było dziełem Piotrowskiego i jego kompanów, tak jak liczne telefony i anonimy z pogrózkami, którymi usiłowano zastraszyć kapłana. Ale ten zastraszyć się nie dał. Wobec tego postanowiono uciec się do skuteczniejszych środków. Cały sztab specjalistów od szpiclowania zastanawia się, jak „uciszyć” jednego odważnego człowieka. Mają do swojej dyspozycji aparat, samochody z fałszywymi numerami, broń, krótkofalówki. Mają poczucie bezkarności. On ma przy sobie tylko przyjaciół, którzy gotowi są go bronić. Jednym z nich jest Waldemar Chrostowski. Prześladowcy postanawiają odsunąć go od księdza. Pietruszka powie potem na sali sądowej: „Rozważaliśmy koncepcję, żeby Chrostowski miał bardziej siedzącą pracę.” Wtedy nie mógłby tak często wyjeżdżać z księdzem w teren. Ofiara byłaby zupełnie bezbronna. Nie udało się to jednak, może zresztą dzielni panowie z SB doszli do wniosku, że z Waldemarem Chrostowskim też sobie jakoś poradzą. Odbywają się narady.

Uczestnicy jednej z nich, pracownicy MSW Leszek Wolski i Janusz Dróżdż zeznawać będą potem przed sądem w Toruniu. Obydwaj cierpią na zanik pamięci i na pytania sędziego najczęściej odpowiadają „nie pamiętam”, „nie wiem”, „nie zwróciłem uwagi”. Na tej naradzie mówi się już o konkretach. Leszek Wolski wykręca się od udziału w planowanej „akcji”, twierdząc, że nie ma odpowiedniego sprzętu i ludzi. Ale Piotrowski jest jak zwykle zdyscyplinowany. Zresztą od dawna „sprawa Popiełuszki” jak to sam określa, spędza mu sen z powiek. A teraz jest okazja, żeby się wykazać. Akcja ma być bowiem przeprowadzona na wyraźne polecenie „z góry”. Sam Pietruszka powiedział mu przecież: „Nie muszę mówić, że jest to decyzja z najwyższego lub wysokiego szczebla”. A więc pełna aprobatą, nie ma się czego obawiać, nawet gdyby coś się nie udało. Dlatego potem wszyscy są tak zaskoczeni, przerażeni, gdy okazuje się, że jednak wszczęto śledztwo. Nie przygotowali się na taką ewentualność, pewni swojej bezkarności. W rozmowach pada kilkakrotnie nazwisko gen. Władysława Ciastonia, wiceministra spraw wewnętrznych. To daje poczucie bezpieczeństwa. Lecz kiedy wspominają go potem w sądzie, sędziowie zdają się nic nie słyszeć. Wreszcie zniecierpliwiony sędzia Kujawa określa te wzmianki jako absurdalne. Ale podczas narad i posiedzeń na których planuje się morderstwo poparcie „góry” jest czymś bardzo realnym. Są o nim przekonani wszyscy trzej – Piotrowski i jego dwóch podwładnych, których wybrał do tego „trudnego zadania”. Nie zawiódł się. Chmielewski przyzna w sądzie: „Nie był to wyraźny rozkaz, lecz propozycja – rozmowa przełożonego Piotrowskiego. Ja zaś nie mam zwyczaju poleceniom się przeciwstawiać i ich nie wykonywać”. Podwładny Chmielewski jest zdyscyplinowany, tak jak jego szef. A szef przekonuje o „konieczności zdecydowanych działań”. Ten ksiądz, który symuluje chorobę, żeby nie stawiać się na przesłuchania! Ta bezkarność! Trzeba coś z tym zrobić...

BEZ SKRUPUŁÓW

Zaczyna się planowanie szczegółów. Na zimno. Chmielewski zezna potem w śledztwie: „Była koncepcja zakopania księdza w odludnym miejscu po szyję”. Albo wypadek samochodowy. Porwanie i porzucenie w odludnym bunkrze. Wyrzucenie z pociągu. Narady trwają dalej także wtedy, gdy 10.X ks. arcybiskup Dąbrowski zawiadamia generała Zenona Płatka o planowanym wyjeździe księdza Popiełuszki na studia do Rzymu. Mimo tej informacji dalej planują porwanie, żeby, jak powie Chmielewski w sądzie, „wprowadzić zamieszanie w kołach podziemnej Solidarności”.

Decydują się na zatrzymanie samochodu na drodze i uprowadzenie księdza. Ale tu zaczynają się niejasności. Czy naprawdę chodziło o uprowadzenie żywego człowieka? Czy nie myśleli o tym, że rzut kamieniem w szybko jadący samochód spowoduje śmiertelny wypadek? W śledztwie padają słowa o planach podpalenia

wraka z ofiarami. W sądzie wszyscy trzej oskarżeni wypierają się tego.

OSTATNIE PRZYGOTOWANIA

Do „akcji” przygotowują się precyzyjnie. Piotrowski poleca podwładnym przygotowanie „sprzętu”. Część przedmiotów kupują. Plaster, gazę i sznurek przynosi Chmielewski z domu. Mają do dyspozycji minimagnetofon (na wypadek, gdyby z maltretowanego udało się wydobyć jakieś kompromitujące go zeznania, przynajmniej coś, co po odpowiednim spreparowaniu można by nadać przez radio; to znana i sprawdzona metoda) i trzy radiostacje typu Radmor. Fałszywe tablice rejestracyjne – ukradli je już wcześniej, po tym jak w sierpniu Piotrowski stwierdził, że ich służbowy samochód jest już powszechnie znany i kazał „skombinować” nowe.

Sprawa tych tablic rejestracyjnych będzie później powracać wielokrotnie. W śledztwie, na sali sądowej. Świat dowie się, że w Polsce samochody ubeckie mają urzędowo podwójne numery rejestracyjne: „wewnętrzne” i „cywilne” – tych drugich używa się podczas akcji. Samochód, którym Piotrowski ścigał księdza Popiełuskę także miał podwójną numerację: WAE 938 B i WAB 6031, a oprócz tego ukradzione tablice KZC 0423.

Teraz trzeba jeszcze zrobić wizję lokalną. Pękala i Chmielewski jadą do Kozunia, gdzie ten ostatni widział kiedyś trzy stare, ponemieckie bunkry. Ale gdy przyjeżdżają na miejsce, jest już ciemno. Ponownie jadą do Kozunia w czwartek. Tym razem już z Piotrowskim. W trzech torbach wiozą „sprzęt” przedtem schowany w biurze, w szafie Pękali. A do tego sprzętu zaliczają się też kamienie. Po co – jeżeli planowali tylko „nastraszyć” księdza, jak uparcie powtarzają w sądzie? „Żeby zamaskować bunkier” – mówi jeden z oskarżonych bez przekonania. Wreszcie na postawione wprost pytanie czy kamienie były przeznaczone do obciążenia ciała, Chmielewski zeznaje: „Liczylem się z taką możliwością, ale nie zakładałem że do tego może dojść” (sic!)

Nie zakładałem... – ale pojechali z Piotrowskim także na most w Nowym Dworze. Zwierzchnikowi „most się podobał”. Był zadowolony ze swoich podwładnych, którzy sprawdzili się w przygotowaniach.

Teraz potrzebna jest jeszcze przepustka i zezwolenie na wyjazd służbowym samochodem. Zezwolenie dostają od Pietruszki, ale przepustka jest w jego zamkniętym samochodzie, trzeba pojechać po kluczyki do domu. W końcu mają już wszystko, można ruszać. Na drogę Pietruszka życzy swoim chłopcom powodzenia.

PIERWSZA POTYCZKA

Od samego rana obserwowali, czy Golf rusza do Gdańska. Jadą za nim samochodem na oficjalnych „cywilnych” numerach. Po drodze pierwsza komplikacja: pęka opona i trzeba zmieniać koło. Potem jadą wybrać miejsce spowodowania wy-

padku — na szosie Ostróda — Olsztynek, 12 km od Olsztyńska. Piotrowski wyszukuje w przewożonych kamieniach sztukę o średnicy 10–12 cm i mówi, że będzie sam rzucał.

Do 18 kręcą się po Gdańsku, idą na luksusowy obiad do „Grandu”, żeby posilić się przed akcją. Potem podjeżdżają pod kościół i widzą stojącego tam Golfa. Zmieniają tablice rejestracyjne i obserwują. Ok. 21 zielony Golf rusza w kierunku Warszawy. Jadą za nim, wyprzedzają, a potem znowu przepuszczają samochód z księdzem Popiełuszką. Widzą w samochodzie trzy osoby: księdza, W. Chrostowskiego (za kierownicą) i siedzącego obok niego Seweryna Jaworskiego. Przed wybranym miejscem zbrodni ponownie wyprzedzają Golfa. Ukrywają swojego Fiata przy drodze, Pękala zostaje przy nim z radiostacją, a dwaj pozostali idą 200 m dalej. Po 5 minutach Pękala nadaje: „Jadą, to oni” Chmielewski pozostaje w rowie, Piotrowski z kamieniem w ręku wybiega na szosę. Rzuca. Pisk opon, ale samochód jedzie dalej. Chmielewski ucieka do lasu. Po chwili dogania go szef. „Przerzuciłem, Chrostowski zachował się jak rasowy kierowca — odbił”.



Waldemar Chrostowski zachował się jak rasowy kierowca.

Rasowy kierowca Waldemar Chrostowski tym manewrem ocalił życie trzech osób. Chciał się zatrzymać, wydawało mu się podejrzanym, że napastnik był zamaskowany — prawdopodobnie w ponczosze na twarzy. Ale ksiądz Popiełuszko go powstrzymał. To jakiś pijak albo chuligan, lepiej jechać dalej. Nie dał wiary perswazjom przyjaciela, że pijak nie ukrywałby swojej twarzy za maską.

A tymczasem Pękala wyśmiewa się z Piotrowskiego, że nie trafił. Na parkingu, kiedy ponownie zmieniają tablice rejestracyjne, demonstruje jak powinien wyglądać prawidłowy rzut: „Bez zamachu, wystarczy lekko podrzucić kamień w kierunku nadjeżdżającego auta”. Specjalista Pękala jeszcze raz wykaże swoje umiejętności: 19.X to właśnie on założył swojej ofierze pętlę na szyję.

Od razu po powrocie zaczynają się przygotowa-

wania do następnej próby. Chmielewski bierze tydzień zwolnienia lekarskiego, a Pękala urlop, aby dokładnie obserwować tryb życia księdza. Znowu rozważają różne wersje porwania. Tym razem decydują się na fikcyjną kontrolę drogową. Trzeba więc „zorganizować” nowe akcesoria. Lizak jest „na wyposażeniu” wozu. Pękala przynosi kolorową latarkę, Chmielewski na polecenie szefa pobiera (chciało by się zapytać gdzie i w jaki sposób) czapkę—drogówkę z białym pokrowcem, bluzę z dystynkcjami sierżanta i numer-identyfikator. Trzeba jeszcze „skombinować” kajdanki. Te pożyczają Chmielewski od kolegi na dzień przed mordem. Chce także drugą parę, ale zniecierpliwiony koleś odpowiada: „Jak potrzebujesz więcej, to sobie kup na bazarze za 1000 zł!”

Sprawa kajdanek też później wielokrotnie powróci na sali sądowej. To tymi kajdankami skuto W. Chrostowskiego. Ekspertyza wykazała, że zostały celowo podpiłowane. Przez kogo? Po co? Odpowiedzi na to pytanie nie udało się ustalić.

Starają się też o inny, sprawny samochód. Początkowo jest mowa o prywatnym fiacie 132 Piotrowskiego (to jego drugi samochód, oprócz tego miał jeszcze Audi) lub służbowym Polonezie Pietruszki. Ale nic z tego nie wyszło. Piotrowski w sądzie: „Sądziłem, że celowo jedziemy samochodem wydziału, organizujemy kajdanki i mundur na własną rękę, by nie zostawiać śladów wewnątrz wydziału”. Konspiracja w konspiracji? Świetnie pasuje to do tezy o „bandzie czworoga”... Tylko jak pogodzić to z pełnym poczuciem bezpieczeństwa morderców, którzy nie wysilali się nawet żeby zatrzeć odciski palców, usunąć włosy i krew ofiary z bagażnika? Jako wieloletni pracownicy milicji musieli sobie zdawać sprawę z tego, jak takie dowody ich obciążają. Ale oni po prostu nie rozwa-

żali takiej możliwości, że ktoś będzie ich szukał. Byli pewni, iż ten ktoś, kto stoi za nimi, nie dopuści do żadnego śledztwa. Czy byli naiwni? Tak twierdzili w sądzie. Naiwni oficerowie bezpieczeństwa z kilkuletnim stażem — zdumiewające zjawisko.

Chmielewski zabiera także pistolet. Bez naboju bo jak sam twierdzi, „ma awersję do broni krótkiej”. Do długiej najwyraźniej nie. A już na pewno nie do pałki, sznura czy knebla...

Nadchodzi 19 października. Jest wiadomość o tym, że ksiądz Popiełuszko jedzie do Bydgoszczy. Resort działa sprawnie, pętla wokół ofiary zaczyna się zaciskać. Ksiądz Jerzy przyjął zaproszenie kolegi, którego poznał w latach 60-tych na wczasach seminaryjnych, obecnie wikariusza w kościele Świętych Polskich Braci Męczenników w Bydgoszczy. Spotkali się w 1984 r na Jasnej Górze i wów-

czas ksiądz Jerzy O. zaprosił go na nabożeństwo do swojej parafii. Telefonicznie sprecyzowali termin na 19. X. (SB wiedziała o tym zapewne z podsłuchu).

Wiadomość potwierdza się i w ślad za księdzem wyrusza ekipa morderców.

W BYDGOSZCZY

Ksiądz Jerzy O. zezna w sądzie: „Przyjechali około 14, nabożeństwo odbyło się o 18. Ksiądz narzekał na zdrowie, położył się na godzinę, mierzył temperaturę, która przekraczała 38 stopni”. Po nabożeństwie na plebanii pozostała grupka wiernych, wśród nich J. Rulewski i A. Tokarczuk. Po rozmowie z nimi i posiłku, około 21, ksiądz i Waldemar Chrostowski wyjechali z Bydgoszczy.

W tym czasie mordercy już od kilku godzin są w mieście. W drodze z Warszawy po raz kolejny zepsuł im się samochód – pękł pasek klinowy i przerywało łącze termostatu. O godzinie 17 docierają jednak do Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Bydgoszczy. Piotrowski telefonuje, oczekuje jakiś tajemniczych informacji. Wspominał o nich już przed wyjazdem sekretarce. Skąd te informacje czy polecenia miały przychodzić – nie wiadomo.

Potem czatują przed plebanią. Jakiś tajniak notuje numery ich samochodu. Piotrowski: „Mogą sobie notować...” Potem zmieniają tablice na fałszywe, te same których używali już 13 października. I te numery zostają zanotowane przez smutnych panów obserwujących plebanię, ale o tym siedzący w wozie dowiedzą się dopiero później. O godzinie 22 widzą Volkswagena odjeżdżającego sprzed kościoła. Jadą za nim. Chmielewski przebiera się w mundur. W zdenerwowaniu (?!) zrywa z czapki pokrowiec i orzełka. („nie wiedziałem co zrobić z rękami”). Próbuje umocować orzełka, klnie, wreszcie stwierdza, że „będzie się trzymać”. Jadą za samochodem księdza Popiełuszki. Od tej chwili wydarzenia zaczynają toczyć się jak lawina. Spróbujemy odtworzyć je z zeznań Chmielewskiego i niedosłej ofiary, Waldemara Chrostowskiego, składanych przez nich przed sądem w Toruniu.

Chmielewski: „Dając znaki światłami i latarką wyprzedziliśmy Golfa. Potem on nas, ale następnie zatrzymał się... Podczas jazdy widziałem, jak Piotrowski trzyma w ręku pałkę i próbuje uderzeń”.

Chrostowski: „Gdy Fiat wyprzedził nas i stanął, ja ominąłem go i prawdę mówiąc chciałem dodać gazu i zatrzymać się dopiero w Toruniu. Ale ksiądz Jerzy powiedział: zatrzymaj się, bo będziemy mieli kłopoty... Spytałem – w lesie? On nalegał: stań, stań”.

Chmielewski: „Nie ustaliliśmy szczegółów i podziału ról. Miałem doprowadzić do zatrzymania i poprosić kierowcę o dokumenty”.

Chrostowski: „Coś mnie tknęło, zawahałem się, ale on wyrwał mi kluczyki z ręki i podał cywilowi. Potem polecił mi przesiąść się do Fiata, gdzie miała być przeprowadzona próba trzeźwości. Dobrowolnie usiadłem na przednim siedzeniu i usłyszałem „podaj łapę”... kierowca zatrzasnął

mi kajdanki... Po chwili mężczyzna, który usiadł za mną chwycił mnie za brodę i wepchnął mi knebel do ust... Przekazał kierowcy pistolet i powiedział „masz spluwę, jest odbezpieczona, trzymaj go na muszce”. Byłem zaszokowany”.

Chmielewski: „Wrócił Piotrowski, już z pałką i powiedział „poproś go żeby wysiadł... Ksiądz zwlekał z wyjściem, ale szef szarpnął za klamkę i po chwili obaj razem odeszli do tyłu... Usłyszałem „Waldek chodź tutaj, bo on nie chce usiąść”. Spytałem, dlaczego ksiądz nie chce usiąść. „Bo ten pan, gdzieś mnie ciągnie”. Piotrowski trzymał go lewą ręką za sutannę w okolicy łopatki. Po chwili szarpnął księdza, który przewrócił się. Uderzył pałą (więcej niż raz) z tyłu w okolice głowy”.

UCIECZKA

Chrostowski: „Zobaczyłem wysiadającego z Golfa księdza. Dwaj mężczyźni razem z nim podeszli do Fiata... Kierowca trzymając w ręku pistolet zagroził mi „Nie ruszaj się, nie odwracaj głowy...” Usłyszałem głucho uderzenie, jakby pałką w nabity worek maki... Poczułem, że wrzucono coś ciężkiego do bagażnika. Sądziłem jednak, że być może zamaskowano tylko przede mną wrzucenie tam księdza, a w rzeczywistości porzucono go w rowie. Zdałem sobie sprawę, iż to mogą być moje ostatnie godziny. W czasie jazdy chciałem chwycić kierownicę i spowodować wypadek, ale jeśli ksiądz rzeczywiście był w bagażniku, miałby niewielkie szanse przeżyć. Postanowiłem wyskoczyć z samochodu. Małym palcem namacałem klamkę – i czekałem na jakichś świadków na szosie. Po przejechaniu 4 – 5 kilometrów zobaczyłem dwóch mężczyzn przy motocyklu. Wcześniej wyprzedziliśmy Fiata 126p i zdecydowałem się skakać tak, aby być widocznym w świetle jego reflektorów. Szarpnąłem klamkę i barkiem otworzyłem drzwi. Jechaliśmy około 100 kilometrów na godzinę. Rzucałem się na jezdnię głową do przodu jak najmocniej odbijając się nogami... Wstałem i próbowałem zatrzymać Fiata 126p, ale kierowca ominął mnie. Podbiegłem do motocyklistów, poprosiłem o pomoc. Chciałem ścigać napastników albo wrócić do Golfa i szukać księdza. Jednak powiedzieli, że motor jest zepsuty. Podbiegłem do najbliższego oświetlonego budynku, jak się okazało, hotelu robotniczego”.

Chmielewski: „Piotrowski powiedział Pękali: jedź, gazu! I wciąż powtarzał, żeby skrócić w las”.

Waldemar Chrostowski umknął śmierci, którą przygotowali mu stróżę praworządności i bezpieczeństwa publicznego. Poturbowany, w jednym bucie (drugi zgubił na szosie) dociera do hotelu robotniczego w Przysieku. Telefonistka bezskutecznie próbuje połączyć go z Warszawą, z Kurią lub Episkopatem. W końcu zawiadamiają pogotowie i milicję. Odwożą go karetka zatrzymała się przy plebanii Kościoła Najświętszej Marii Panny w Toruniu. Ksiądz Józef M. wysłuchał dramatycznej relacji kierowcy i oświadczył, że bierze sprawę w swoje ręce. W pogotowiu czekali na rostow-

skiego prokurator i milicjanci w cywilu. Pierwsze przesłuchania. Następnie przewożą go do kliniki MSW. „Opieka była wspaniała, ale odnosiłem wrażenie, że jestem przetrzymywany wbrew swojej woli. Oświadczono mi, że zostałem zatrzymany ze względu na własne bezpieczeństwo”. Dopiero po trzech dniach, na wyraźne żądanie, W. Chrostowski uwolniony zostaje od troskliwej milicyjnej opieki. Od tej pory nad jego bezpieczeństwem czuwać będą ochotnicy – robotnicy z Huty Warszawa. Ksiądz Jerzy Popiełuszko będzie już wówczas od trzech dni martwy.

DARUJCIE MI ŻYCIE

Po dramatycznej ucieczce W. Chrostowskiego Fiat jedzie dalej w stronę Torunia. Zatrzymują się na parkingu nad Wisłą. Coś stuknęło w samochodzie, kierowcy wysiadają. Oddychają z ulgą – koła całe. W tym momencie ksiądz udaje się wydstać z bagażnika, zaczyna uciekać, krzyczy: „Ratunku, ludzie, darujcie mi życie!” Ucieka niedaleko. Po dziesięciu metrach dopadają go, Piotrowski znów bije. Chmielewski zezna w sądzie: „Ja sam schowałem się za bagażnikiem. Pomyślałem, że znowu trzeba będzie zmienić numery rejestracyjne”. Nieprzytomną ofiarę Pękala i Piotrowski wrzucają do bagażnika. Samochód rusza.

Kolejny postój na drodze do Włocławka. Ksiądz stuka w pokrywę bagażnika. Piotrowski z pistoletem w ręce: „Jak się ruszysz, to się zastrzelę!”

Jeszcze jeden postój – kupują olej. Ksiądz znowu próbuje się uwolnić. Zatrzymują samochód w zaroślach, Piotrowski bije drewnianą pałką leżącego w bagażniku, potem nieprzytomnego już wyjmują na rozłożoną na ziemi narzutę, umacniają więzy i knebel. Jeszcze raz wrzucają zmaltretowanego człowieka do bagażnika jak bezwładny pakunek. Rozpoczyna się ostatni akt tragedii. W sądzie Piotrowski odmówi zeznań na temat tego, co działo się od tej chwili („Chcę uniknąć polemik w stylu to nie ja, to kolega”)... Ale inni mówią.

KAMULKI DO NÓG

Ruszyli w kierunku Włocławka. Pobity, zmasakrowany ksiądz Popiełuszko podejmuje ostatnią próbę wymknienia się z rąk morderców. Teraz szef katów każe skrócić w las. Krzyczy: „Kamulki do nóg!”. Znowu pastwi się nad swoją ofiarą. Do swoich podwładnych woła z wyrzutem: „Co, ja mam sam wszystko robić?!” Wspólnicy zabierają się do dzieła. Zmieniają knebel. Pękala trzyma księdza za głowę, Chmielewski owija ją kilkakrotnie plastrem, zaklejając usta. Przejeżdża pociąg, Chmielewski znów ucieka za samochód, ale przywołany z powrotem kończy robotę – związuje nogi nieprzytomnego. Pękala, fachowiec, zakłada wyrefinowaną pętlę. Obejmuje ona podkurczone nogi i szyję tak, że ofiara prostując je zaciska sobie sznur na gardle. Zezenanie Pękali w sądzie: „Z własnej woli założyłem mu pętlę na szyję. Ale nigdy wcześniej nikt mnie tego nie uczył, ani nigdy tego nie widziałem.” Czyżby?

Jeszcze się wahają. Pękala i Chmielewski są za tym, żeby tak zmaltretowanego, nieprzytomnego księdza porzucić w lesie. (Pozostawiony w takim stanie umarłby na pewno – stwierdzi potem w sądzie ekspert, prof. Maria Byrdy). Ale Piotrowski powtarza: „Tylko woda!” W bagażniku nic się już nie rusza. Chmielewski: „Pomyślałem, że ksiądz nie wytrzymał bicia i umarł”

Na drodze zatrzymuje ich patrol drogowy. Ale od czegoż przepustka „W”, w którą przezornie zaopatrzył ich Pietruszka? Z tym immunitetem nie muszą się obawiać żadnej kontroli. Wjeżdżają na tamę we Włocławku. Przerzucają bezwładne ciało przez barierkę, Chmielewski trzyma w jednej ręce worek z kamieniami. Nie zadają sobie nawet trudu, aby sprawdzić, czy wrzucają do wody **żywego człowieka** czy zwłoki! Mimo wszystko zaczynają się bać. Chrostowski przecież uciekł, może ich rozpoznać! Piotrowski uspokaja: „Ciało się nie znajdzie, to nie będzie sprawa”. Pękala stwierdza, że teraz muszą napić się wódki. Więc piją, wypijają w trójkę pół litra, uspokajają się nawzajem. Szef zapewnia, że „jakby co, to mogą być nawet wyekspediowani za granicę”. Od momentu uprowadzenia księdza Popiełuszki do chwili wrzucenia zmaltretowanego ciała do wody upłynęło nie więcej niż dwie godziny.

Teraz mordercy muszą się już tylko zatroszczyć o zniszczenie narzędzi zbrodni. Jeszcze po drodze wyrzucają część rzeczy. Resztę ładują do worka z kamieniami – do tego drugiego worka, przeznaczonego dla Waldemara Chrostowskiego. Ok. 3 rano są już w Warszawie, wrzucają worek do Jeziora Czerniakowskiego. Pozbawiają się kluczyków od Golfa, niszczą dokumenty jego kierowcy. Drewniane pałki wyrzucają w pobliżu mieszkania Piotrowskiego. Zauważają też, że przez całą powrotną drogę jechali mając inne tablice rejestracyjne z przodu, a inne z tyłu. Jeszcze tylko ten szczegół i „akcja” jest zakończona.

WŁAŚCIWI LUDZIE

Następnego dnia, w sobotę, wszyscy spotykają się w biurze. Piotrowski na naradzie u Pietruszki dostaje karteczkę z niepokojącą informacją, że w ich biurze może być założony podsłuch. Zaczyna się dziać coś dziwnego. Podobno jednak wszczęto jakieś śledztwo. Generał Płatek dopytuje się „co właściwie stało się z księdzem Popiełuszką”. Pułkownik Pietruszka zaczyna się denerwować. Ma już informacje z Bydgoszczy i Torunia, wie co zeznał na milicji Chrostowski, który zauważył w samochodzie porywaczy charakterystyczny czerwony przycisk od dmuchawy i półkę na radiostację. Każe Piotrowskiemu zmienić tablice rejestracyjne, bo któryś z obserwujących plebanie tajniaków zanotował przecież numery. Teraz z kolei on usiłuje wydobyć z Piotrowskiego gdzie właściwie jest ksiądz. W odpowiedzi słyszy: „Pewnie pływa w Wiśle”. Od tej chwili nie pyta już o nic.

Nazajutrz jest niedziela, ale ofiarni funkcjonariusze pracują bez przerwy. Lecz Chmielewski „źle się czuje”. Idzie do lekarza zakładowego, który

stwierdza „skoki ciśnienia i osłabienie” (sic!), wy-
wa więc pogotowie. Zawożą biednego chorego do
Polikliniki, troskliwie badają, okazuje się, że „poza
sercem wszystko w porządku”. Chmielewski wraca
do pracy. Tam Piotrowski uspakaja go, że Chros-
towski myli rysopisy, że nie ma się czym tak przeje-
mować. Mówi też, że w miejscu porwania znalazio-
no orzełka, toteż Chmielewski mocuje na czapce
innego, wziętego z tej, którą ma w domu.

Na szczęście Płatek i Pietruszka biorą udział
w „śledztwie” i dzięki temu cały czas mają bieżą-
ce informacje. To gen. Płatek zauważa na dzie-
dzińcu samochód o numerach identycznych z tymi,
które zanotowano w Bydgoszczy. Każę Pietruszce
„zrobić coś z tym, żeby nie było niepotrzebnych
skojarzeń”. Ten natychmiast poleca Piotrowskie-
mu, by zmienił numery. Kiedy o 19 dwóch śled-
czych oddelegowanych przez Płatka do Torunia
składa Pietruszce meldunek, ten jeszcze raz upew-
nia się, czy „trefne” tablice zniknęły. Na razie
wszystko nie wygląda jeszcze bardzo groźnie. Pio-
trowski zapewnia Pękale: „Powołano sztab, w
którym są porządni i właściwi ludzie”. Ale pewne
powody do zaniepokojenia jednak są; Pietruszka
ostrzega Piotrowskiego: „Jeden z rysopisów to ist-
ny Pękala. Leszek musi wyjechać”. Wreszcie puł-
kownik znajduje się sam w przymusowej sytuacji
i każe napisać Piotrowskiemu oświadczenie co ro-
bił 19.X. Ten stwierdza, że był...na grzybach. A
sprawy coraz bardziej się komplikują. Pietruszka
powie potem w sądzie: „Zatuszowanie faktów ani
ukręcenie głowy sprawie nie wchodziło w grę”.
Wiadomości o ustaleniach śledztwa nadchodzą do
ministerstwa „drogą oficjalną” (a jaka jest nieofi-
cjalna? — chciało by się zapytać). Teraz i Piotro-
wski na własną rękę podejmuje „działania dezin-
formacyjne”. Już poprzedniego dnia Pękala dzwo-
nił do jednego z warszawskich biskupów, doma-
gając się za uwolnienie księdza okupu wysokości
50 tys. dolarów. Rozważają też inne możliwości,
coraz bardziej zaniepokojeni. Wieczorem, rozma-
wiając w kawiarni „Wilanowska” z pracującą rów-
nież w ministerstwie Beatą M. napomyka jej, że
„maczał palce w uprowadzeniu księdza Popiełu-
szki” i że „Pietruszka o tym wie”. Nazajutrz wysy-
ła Pękale do Poznania, skąd ma on wysłać anon-
im do Episkopatu. Są jeszcze jakieś inne tajemni-
cze telefony, o których wspomina się bardzo enig-
matycznie w relacjach sądowych. M.in. Piotrowski
poleca sekretarce, Barbarze S. zadzwonić spoza U-
rzędu do KW MO i (anonimowo, oczywiście) za-
wiadomić, że widziała w Bydgoszczy jasnego Fiata
125 P. Po co? Żeby potwierdzić podejrzenia w
stosunku do siebie? ! Ten niezrozumiały aspekt
sprawy nigdy nie zostanie wyjaśniony...

RÓB CO CHCESZ

Teraz i on jest przerażony. Dzieje się napraw-
dę coś dziwnego, coś, czego nikt nie przewidział.
23. X, we wtorek, Piotrowski zostaje aresztowany.
Jego podwładni jeszcze o tym nie wiedzą, kiedy
generał Płatek każe już wszystkim pracownikom
wydziału napisać oświadczenia, gdzie byli i co ro-

bili krytycznego dnia 19 października. Wpadają w
panikę. Co się dzieje? Przecież Piotrowski „pod-
kreślał, że nie będą zadawane pytania”! Chmiele-
wski oświadcza Pękali: „Piszę, że byłem chory, ty
rób co chcesz”.

DROBNE POPRAWKI

Sprawozdania trafiają na biurko Pietruszki.
Ten po ich przeczytaniu każe dwóm osobom zro-
bić poprawki. Chodzi o jedno zdanie, które Pio-
trowski rzucił wyruszając na „trudną i odpowie-
dzialną akcję”: „Wyjeżdżam. Pietruszka wie, gdzie
jestem”. Pułkownik zdaje sobie sprawę, że tamci
są straceni, ale usiłuje jeszcze wypłatać się z tej
sprawy. Na poparcie góry nie ma już co liczyć,
trzeba ratować własną głowę. Fatalne zdanie zni-
ka z obu sprawozdań.

W ogóle różne informacje znikają z dokumen-
tów śledztwa, lub przeciwnie — pojawiają się no-
we, jeszcze zaciemniające sytuację. Potem, na sali
sądowej, godzinami będą one rozstrząsane. Na
przykład kwestia owych numerów zanotowanych
w Bydgoszczy. W tajemniczy sposób numer WAB
6081 zamienia się nagle w notatkach w WAE.
Za to na zezwoleniu na wyjazd służbowym samo-
chodem poza Warszawę, wystawionym przez Pie-
truszkę, najpierw nieoczekiwanie zjawia się dopi-
sana przed rzymską dziesiątką kreska, żeby potem
ulotnić się prawie bez śladu, wydrapana przez nie-
znanego sprawcę. Żadna z tych zagadek nie do-
czekała się ostatecznego wyjaśnienia — lub przy-
najmniej nie podano go do publicznej wiadomości.
Być może trzeba by było zdradzić przy tej okazji
zbyt wiele mechanizmów działania tajnej policji,
mechanizmów, które i tak po raz pierwszy odsła-
niają się na sali sądowej w takim stopniu.

STRACH

Tymczasem Piotrowski w śledztwie wszyst-
kiemu zaprzecza. Jeszcze ma nadzieję? A może ra-
czej boi się, by nie stać się jedynym kozłem ofiar-
nym? W sądzie powie: „Wtedy jeszcze obawiałem
się, że Pietruszka nie był sam”. Wtedy był jeszcze
pewien, że jego szef jakoś wywinie się z tej sprawy
o której zdecydowano „w gorze”. A przecież wice-
dyrektor departamentu też już zalicza się do „gó-
ry”. Kruk krukowi... Nie wiadomo jeszcze, jak się
sytuacja rozwinie, lepiej na razie nie mówić zbyt
wiele. A do tego ta upokarzająca sytuacja! „By-
łem przesłuchiwany przez oficera, którego, jak
innych, spotykałem niedawno jeszcze w pracy, na
korytarzu, mówiłem cześć, podawałem rękę...”
Teraz ten sam „kolega” zadaje mu pytania, a on
siedzi po tej drugiej stronie biurka. Role się od-
wróciły. Czy kapitan Piotrowski myślał wtedy,
jak czuły się jego ofiary, które przesłuchiwał
w ciągu dziewięciu lat swojej ofiarnej służby oj-
czyźnie? Nie wiadomo.

Pękala i Chmielewski, aresztowani dzień póź-
niej rozumują identycznie jak ich szef, do którego
przecież żywią takie zaufanie i podziw. Nadal nie
wiedzą, że on też już jest pod kluczem. Kłamią,
kręcą, opowiadają, że porzucili księdza w lesie. W

BÓG I OJCZYZNA

Pieśń śpiewana w Kościołach w Polsce
Słowa ks. Jerzego Popiełuszki

Ojczyzno ma,
Tyle razy we krwi skąpana,
Ach, jak wielka dziś Twoja rana,
Jakże długo cierpienie twe trwa.
Tyle razy pragnęłaś wolności,
Tyle razy tłumił ją kat.
Ale zawsze czynił to obcy,
A dziś brata zabija brat.

Ref. Ojczyzno ma...

Biały orzeł znów skrzepowany,
Krwawy łańcuch zwisa u szpon,
Lecz już wkrótce zostanie zerwany,
Do wolności uderzył dzwon.

Ref. Ojczyzno ma...

O Królowo Polskiej Korony,
Wolność, pokój i miłość racz dać,
By ten naród boleśnie dręczony
Odtąd wiernie przy Tobie trwał.

Ref. O, Matko ma...

Tyś Królową polskiego narodu.
Tyś wolnością w czasie niewoli,
I nadzieją, gdy w sercach jej brak.



sądzie Chmielewski wyjaśnia, iż bał się, że „po ujawnieniu prawdy Piotrowski lub inny przełożony skieruje przeciwko niemu jakieś działania”. Dopiero następnego dnia, 25. X, dowiedziawszy się z komunikatu radiowego o zatrzymaniu Piotrowskiego, zaczyna sypać. Uświadamia sobie, że ktoś chce zrzucić winę tylko na nich, na bezpośrednich wykonawców. Jeżeli tak, to niech przynajmniej nie spadnie ona tylko na niego samego: „Starałem się wskazać wszystkie miejsca i przedmioty, które w jakikolwiek sposób kojarzą się z uprowadzeniem a jednocześnie potwierdzają, że nie byłem sam”.

Również Pękala zaczyna mówić. Padają nazwiska: generałów Płatka, Ciastonia, ministra Kiszczaka. W śledztwie powtarzają się one bardzo często. Jeszcze na sali sądowej oskarżeni wspominają je kilkakrotnie, ale coraz ciszej, rzadziej. A pod koniec procesu zgodnym chórem twierdzą już, że sami sobie wymyślili tych mocodawców, że lista sprawców kończy się na Pietruszce – i ani kroku wyżej. Widać zrozumieli..

Trzech morderców jest już pod kluczem, ale sytuacja nadal jest bardzo napięta. Nie odnaleziono ciała. W Hucie Warszawa pojawiają się ulotki, nawołujące do strajku, mającego wymusić na rządzie intensywne śledztwo i ujawnienie wszystkich zamieszanych w tę ponurą zbrodnię. (Później okazuje się, że były to „fałszywki” obliczone na prowokację). Rząd Jaruzelskiego z przerażeniem patrzy, jak wypracowany przy pomocy pałki wątki spokój społeczny zaczyna się kruszyć w oczach. Społeczeństwo jest oburzone i przerażone. Zewsząd rozlegają się głosy: prowokacja! Czyja? Przeciwko komu? Krążą przeróżne pogłoski, powtarza się w nich nazwisko Milewskiego, byłego

ministra spraw wewnętrznych, odsuniętego przez Jaruzelskiego i zastąpionego „własnym człowiekiem” Kiszczakiem. 26 i 27 X obraduje Plenum KC. 27 wieczorem gen. Kiszczak wygłasza mowę w telewizji. Poraz pierwszy oficjalnie stwierdza się, że bestialskiego czynu dokonali funkcjonariusze tajnej policji. Padają nazwiska i grzmiące zapowiedzi śledztwa, które ma przynieść wyświechtanie wszystkich aspektów sprawy. 30 października ekipa płetwonurków wyławia z Wisły zwłoki zamęczonego kapłana. 3 listopada w obecności kilkuset tysięcy wiernych odbywa się jego pogrzeb. A dzień później aresztowany zostaje ostatni z przeznaczonych na ofiarę sprawiedliwości, pułkownik Adam Pietruszka. Aż do chwili swego zatrzymania uczestniczył w śledztwie, był członkiem ekipy, która miała wyświechtlić okoliczności zbrodni! Pozostaje otwartym pytanie, gdzie zapadła decyzja o jego aresztowaniu? Tego nie dowiemy się chyba nigdy. Generał Płatek zostaje zawieszony w czynnościach służbowych – za „niedopatrzanie obowiązków”. Śledztwo trwa nadal – ale w prasie nic się o nim nie wspomina. Raz będzie o nim jeszcze głośno, gdy 30 listopada dwaj prowadzący je oficerowie, pułkownik Trafalski i major Piątek zginą w katastrofie samochodowej pod Radomiem na skutek czołowego zderzenia z pługiem śnieżnym noszącym podobno rejestrację województwa.. olsztyńskiego. Oficjalna wersja brzmi – nieszczęśliwy wypadek.

W gabinetach operacyjnych sztaby fachowców od bezpieczeństwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej ustalają szczegóły, reżyserują mające nastąpić widowisko. Przygotowuje się P R O C E S.





Ponad ćwierć miliona ludzi z całej Polski uczestniczyło w sobotę, 2 listopada 1984 roku w ostatniej drodze księdza Jerzego Popiełuszki. Według informacji Episkopatu było to największe zgromadzenie Polaków od czasu ostatniej wizyty Ojca Świętego.

Uroczystą mszę żałobną w kościele Stanisława Kostki na Żoliborzu w Warszawie celebrował prymas Józef Glemp. W swoim kazaniu wezwał on raz jeszcze rząd do nawiązania prawdziwego dialogu ze społeczeństwem, do zaniechania używania przemocy i siły.

Mowę nad grobem zamordowanego księdza wygłosił również Lech Wałęsa. Przywódca „SOLIDARNOŚCI” stwierdził, że ten brutalny mord wzmocni opozycję w Polsce: „Solidarność żyje, ponieważ Ty oddałeś za nią swoje życie”.

Na miejscu uroczystości pogrzebowych nie widać było milicji, porządek regulowały służby kościelne. Z oburzeniem natomiast przyjęto nadawany w dniu pogrzebu program radiowy i telewizyjny. Kolejny raz propaganda reżimowa zakpiła sobie z uczuć wszystkich Polaków. Mimo protestów Kościoła i organizacji świeckich do ostatniej chwili usiłujących wpłynąć na zmianę programu, przez cały dzień nadawano muzykę taneczną, informacji o pogrzebie poświęcając w dziennikach jedno jedyne zdanie.

Prezentowany obok fotoreportaż z uroczystości pogrzebowych publikowany jest w prasie po raz pierwszy.



OSTATNIA DROGA



NA ZDJĘCIACH: u góry – Adam Pięruszka, poniżej – Grzegorz Piotrowski (z lewej) i Leszek Pękala (z prawej), na sąsiedniej stronie – Artur Kujawa.



Pierwszy kordon milicji otaczał budynek sądu wojewódzkiego w Toruniu już w odległości kilkudziesięciu metrów. Samym sądzie kolejne kontrole. Nie, z magnetofonu nie wolno korzystać na sali – proszę pozostawić go w depozycie. Ten jest jeszcze sprawdzanie kart wstępu, codziennie innych – w tym kolorze. Pierwszego dnia procesu kontrola przeciągnęła się tak, że opóźnieniu uległo posiedzenie. Później wprowadzono jeszcze jedną kontrolę, przed samym wejściem na salę.





Sala numer 40, drugie piętro, największa jaką dysponuje stary budynek z czerwonej cegły. Mieści sto osób, pod koniec procesu stłoczyło się w niej 140, część musiała stać. Wśród nich 40 dziennikarzy, także zagranicznych (między innymi Reuter, DPA, UPI, korespondenci New York Times i Financial Times). Budynek absolutnie nieprzystosowany do prowadzenia tak spektakularnego procesu, który przyciąga uwagę całego świata. W biurze prasowym — 1 (słownie: jeden) telefon, do którego na wysiłki usiłują się dopchać dziennikarze. Nie ma bufetu, a posiedzenia trwają przecież przez wiele godzin dziennie. Zimno — sale ogrzewane są kaflowymi piecami, już podczas pierwszych dni panuje w nich przenikliwy ziąb. Wszystko to razem utrudnia obsługę prasową, ogranicza liczbę publiczności, która może bezpośrednio obserwować, co dzieje się przed sądem.

W myśl polskiej procedury przestępca winien być sądzony tam, gdzie popełnił gwałt na prawie. Aczkolwiek przestępstwo, za które zostali pociągnięci do odpowiedzialności oskarżeni dokonane zostało w województwie włocławskim, rozprawę wyznaczono w Toruniu, motywując to faktem, że tam od początku prowadzone było śledztwo. Od powyższej zasady jedności miejsca przestępstwa i procesu możliwe są jednak wyjątki: „Dobro wymiaru sprawiedliwości może podyktować Sądowi Najwyższemu decyzję przekazania sprawy sądowi równorzędnemu” — na przykład w Warszawie. Ale Sądowi Najwyższemu najwyraźniej nie zależało na tym, aby proces odbył się w Stolicy. Można się domyślać, z jakich względów.

Na sali sądowej umieszczono kamery telewizyjne. Obraz przekazywany jest do specjalnie w tym celu urządzonego studia transmisyjnego, a stamtąd bezpośrednio do budynku KC PZPR. Wybrane fragmenty zobaczą wieczorem telewizywnie w całej Polsce, ale najpierw obejrzą je ci, którzy chcą zachować pełną kontrolę nad wydarzeniami i mieć możliwość natychmiastowej interwencji. Nie darmo na biurku przewodniczącego sądu, Artura Kujawy stoi telefon.

Podjęcie decyzji o przeprowadzeniu procesu i to procesu przy drzwiach otwartych było dla rządzącej ekipy niewątpliwie próbą nerwów. Mimo starannej — niewątpliwie — reżyserii istniało potencjalne ryzyko, że przewód wymknie się spod kontroli. W końcu obok sprawdzonych pracowników Wymiaru Sprawiedliwości — sędziów (oprócz Artura Kujawy — Wojciech Dąbkiewicz i Jurand Maciejewski), prokuratorów — Leszka Pietrasińskiego z Prokuratury Generalnej i Zygmunta Kołackiego z Prokuratury Wojewódzkiej w Toruniu, ławników i obrońców w procesie brali udział także oskarżyciele posiłkowi. Ci ostatni, cieszący się sławą i uznaniem, znani z odważnych wystąpień podczas procesów członków KOR-u czy KPN mecenas Edward Wende, Andrzej Grabiński, Jan Olszewski i Krzysztof Piesiewicz byli pełnomocnikami rodziców zamordowanego księdza i jego brata Józefa, a także koronnego świadka dokonanej zbrodni, który dzięki odwadze i zimnej krwi wymknął się z rąk prześladowców — Waldemara Chrostowskiego. Z ich też strony można się było obawiać największych „kłopotów”.

Od samego początku wyraźny był podział aktorów widowiska na dwa przeciwstawne obozy. Z jednej strony oskarżeni, ich obrońcy i ... sąd oraz prokurator (!), z drugiej pełnomocnicy oskarżycieli posiłkowych przywoływani bez przerwy „do porządku” przez sędziego Kujawę i ostro atakowani przez przedstawicieli prokuratury. Ten zdumiewający podział odpowiadał w pełni nie tylko szerszej wymowie procesu, ale także ogólnej sytuacji w Kraju, a zwłaszcza stosunkom Państwo — Kościół.

Już sam fakt niedopuszczenia do wystąpienia Kościoła w roli poszkodowanego wyznaczał generalną linię rozprawy. Dwukrotnie występowała Warszawska Kuria Metropolitalna o dopuszczenie



Ława oskarżonych. Zeznaje porucznik Leszek Pękała (przy mikrofonie).

jej (poprzez pełnomocników) do udziału w procesie i dwukrotnie wniosek ten odrzucono. Przedstawicielom Kościoła pozostało miejsce dla widzów na ławach dla publiczności, skąd musieli wysłuchiwać tyrad oskarżonych i prokuratorów zarzucających nienawiść i pożeganie do zamieszek temu, którego morderców sądzić miano na tej sali. Przewodniczący sądu, czuwający nad tym, by nie zostało zbyt wiele powiedziane nawet przed tym tak szczupłym i wyselekcjonowanym gronem, określający jako „absurdalne” wzmianki oskarżonych o poparciu, jakim cieszył się ich zbrodniczy zamiar u wysoko postawionych zwierzchników (padały tutaj nazwiska generałów Zenona Płatka i Zbigniewa Jabłońskiego), szczerze udzielał głosu oskarżonemu Grzegorzowi Piotrowskiemu, gdy ten zaczynał mówić o zarzutach, jakie Sąd Rejonowy w Warszawie zebrał przeciwko księdzu Jerzemu. Mimo protestów oskarżycieli posiłkowych włączono do aktu sprawy o zabójstwo także te akta. Rozpoczęło się odczytywanie owego dossier mającego na celu uwiarygodnienie „politycznych motywów działania oskarżonych”, tak że w pewnej chwili nie wiadomo już było K T O stoi przed tym sądem w roli oskarżonego.

Pełnomocnicy rodziny księdza z trudem uzys-

kiwali dostęp do materiału dowodowego, a sam proces przerywany był bez przerwy sporami proceduralnymi. Oskarżyciele posiłkowi zmuszani byli ciągle przypominać sędziemu przewodniczącemu o obowiązującym w Polsce prawie sądowym. Również wtedy, gdy usiłowali zadawać kolejnym świadkom konkretne pytania i żądali konkretnych odpowiedzi, do akcji natychmiast wkraczał sędzia Kujawa. Kiedy na przykład mecenas Olszewski chciał się dowiedzieć od porucznika warszawskiej SB, Wolskiego czy w już w październiku 1984 roku ksiądz Popiełuszko był śledzony, ten regularnie udzielał nic nie znaczących odpowiedzi: „Mielismy wtedy koncepcje działań zabezpieczająco – zapobiegawczych”.

Olszewski: „Proszę odpowiedzieć na moje pytanie – tak albo nie?”.

W takiej sytuacji do akcji wkracza natychmiast Kujawa: „Panie mecenasie, to jest niedopuszczalna próba wprowadzania na tę salę obcych zwyczajów procesowych. U nas świadek ma prawo odpowiadać na pytanie pełnym zdaniem”.

W tym sądzie świadkowie rzeczywiście mieli prawa... udzielania wykrętnych odpowiedzi, zasłaniania się tajemnicą służbową, unikania niewygodnych pytań. A jeśli już ktoś zagalopował się za

daleko i powiedział zbyt wiele, odpowiedni fragment starannie retuszowano.

Mimo tych wszystkich wysiłków doszło podczas obrad do kilku nieprzewidzianych chyba w scenariuszu wypadków. Najbardziej spektakularnym z nich było odczytanie – na wniosek mecenasa Olszewskiego – pisma „pro memoriam” z dnia 17 września 1983 skierowanego przez rząd do Episkopatu. W świetle oficjalnych zapewnień o dążeniu władzy do „dialogu, porozumienia i współpracy”, napastliwy, wręcz obraźliwy ton tego orędzia, którego tezy zadziwiająco zresztą przypominają o pięć dni wcześniejszy artykuł „Izwestii”, daje wiele do myślenia.

Przywilej atakowania nie tylko zamordowanego kapłana, ale także Kościoła i kleru jako takiego został udzielony również prokuratorowi. Sala popadła dosłownie w osłupienie słysząc jak prokurator Pietrasiński w swojej mowie oskarżycielskiej więcej miejsca poświęcił „przestępstwom” Jerzego Popiełuszki, niż jego mordercom. Po raz drugi w ostrych słowach zaatakował on zamordowanego w swojej replce na wystąpienie obrońców i oskarżycieli posiłkowych (z którymi w gruncie rzeczy powinien przecież reprezentować tę samą stronę w procesie). Atak na nich był lwią częścią jego tyrady. Także prokurator Zygmunt Kołacki nie pozostał w tyle. To „ekstremalna postawa i działalność – powiedział – księdza Jerzego Popiełuszki zrodziła niemniej (ale też nie więcej –? ! red.) szkodliwą ekstremę, której produktem są odrażające zbrodnie będące przedmiotem osądu w niniejszej sprawie”. I dalej: „dla tego rodzaju ekstremalnych postaw, jeżeli rodzą one przestępstwo, trzeba być więc, obywatele sędziowie, nieustępliwie surowym”. Czyli – ksiądz Popiełuszko sam sobie jest winien, że go zabili i w zasadzie to już ma szczęście, że nie żyje, bo inaczej trzeba by go postawić przed sądem za podżeganie do mordu. Włos się jeży na głowie od tej komunistycznej logiki. Osłupiała sala przestawała rozumieć, kto w końcu jest oskarżonym w tym procesie. No, może nie cała sala. W sądzie znajdowała się bowiem jako obserwator przedstawicielka milicyjnego tygodnika „W Służbie Narodu”.

Gdy już mowa o prasie: ogromne zainteresowanie społeczne procesem sprawiało, że kupno jakiegokolwiek gazety po godzinie ósmej rano stało się niemożliwe. Przed kioskami sprzedającymi popołudniówki ustawiały się od godziny 14 nowe kilometrowe kolejki. We wszystkich codziennych gazetach ukazywał się jednak tylko serwis PAP-u, charakteryzujący się tym, że redagujący go dokładali wszelkich starań, aby zagmatwać i tak niejasną materię procesu. Nawet uważny czytelnik tracił szybko orientację w tym gąszczu omówień, niedomówień i nic nie znaczących stwierdzeń. Jedynie w miejscach w których dosłownie cytowano wypowiedzi oskarżonych i świadków z gazetowej mowy – trawy przebijała przerażająca prawda. Słownictwo jakim posługiwali się wszyscy czterej oskarżeni zdawało się być rodem z najczarniejszych orwellowskich fantazji. Na sali sądowej nie mówio-

no o morderstwie, biciu, torturach, planowaniu na zimno zbrodni. W nowomowie nazywało się to „akcja”, „sprzęt” (pałki, kamienie, kneble), „eliminacja” (morderstwo), „zatrzymanie” (porwanie księdza) i tak dalej. Dopiero kiedy ów „sprzęt” został zaprezentowany przez biegłych wstrząśniętej publiczności, kiedy wyświetlono zarejestrowany na wideo moment wydobywania i pierwszych oględzin zwłok, słowa, którymi usiłowano rozmydlić prawdę, odzyskały swój właściwy wymiar.

Nawet najgorsi zbrodniarze mają prawo do obrony. Tak jest słusznie. Tego wymaga sprawiedliwość. W przypadku braku adwokata z wyboru oskarżonym zostaje przydzielony obrońca z urzędu. Piotrowski, Chmielewski, Pękala i Pietruszka mieli ich trójkę: Eugeniusza Graczyka z Grudziądza, Barbarę Marczak i Jerzego Kwietnickiego z Torunia. Oprócz tego Piotrowskiego bronił jako adwokat z wyboru mec. Janusz Iliasz, a Chmielewskiego – Zygmunt Pubanc. W przeciwieństwie do pełnomocników oskarżycieli posiłkowych są to postaci zupełnie nieznane, szeregowi członkowie palestry. Linia obrony od początku była jasna – nieumyślne zabójstwo z powodów politycznych, spowodowane zawodowym rozgoryczeniem oskarżonych i ich niewiarą w „legalne” środki przeciwdziałania „antypaństwowej działalności”. Linia ta tylko częściowo zyskała aprobatę sądu i wyroki zapadły surowe, choć nie tak surowe, jak tego domagał się prokurator. Ten ostatni zażądał bowiem:

– dla Grzegorza Piotrowskiego – kary śmierci i kary dodatkowej w postaci pozbawienia praw publicznych na zawsze;

– dla Leszka Pękali – 25 lat pozbawienia wolności oraz kary pozbawienia praw publicznych na okres 8 lat;

– dla Waldemara Marka Chmielewskiego – kary 25 lat pozbawienia wolności i kary 8 lat pozbawienia praw publicznych;

– dla Adama Pietruszki – kary 25 lat pozbawienia wolności, pozbawienia praw publicznych na okres 10 lat oraz zakazu zajmowania stanowisk kierowniczych w aparacie państwowym na okres lat 10.

Jak już mówiliśmy, sąd wyznaczył nieco mniejsze kary niż te żądane przez prokuratora. W efekcie zostali skazani:

– Piotrowski: na 25 lat pozbawienia wolności i 10 lat pozbawienia praw publicznych;

– Pękala: na 15 lat pozbawienia wolności;

– Chmielewski: na karę 14 lat pozbawienia wolności;

– Pietruszka: na karę 25 lat pozbawienia wolności i 10 pozbawienia praw publicznych.

Wszystkim oskarżonym zaliczono na poczet odbywania kary czas tymczasowego aresztowania. Oprócz tego skazani zostali oni na po 12 000 złotych opłaty i pokrycie wspólnie 1/3 kosztów sądowych (pozostałe 2/3 opłaci skarb państwa).

Ten wyrok nie jest jeszcze prawomocny i zarówno oskarżeni jak i prokurator wniosli od niego odwołanie.



Słuchały go tysiące w całej Polsce. Potrafił bowiem mówić naszym językiem, wyrażać nasze troski i pragnienia. Porywał za sobą słaknione prawdy umysły, kiedy domagał się uznania dla ludzkiej pracy, wskazywał na społeczne nierówności, wstykał zło i bezprawie. Ludzie szli za nim, bowiem w jego kazaniach znajdowali otuchę i pocieszenie. Ten człowiek, który odważał się mówić głośno prawdę, stał się dla partii wrogiem publicznym numer jeden. Dziś nie ma Go wśród nas, ale pozostały Jego słowa.

PRAWDY NIE MOŻNA ZABIĆ

Ksiądz Jerzy Popiełuszko pochodził — w przeciwieństwie do swoich zabójców — z prostej rodziny chłopskiej, rodziny, która była dumna, iż zdołała wykształcić go na duchownego. Uczęszczał do Seminarium na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Jeszcze przed jego ukończeniem został powołany na dwa lata do wojska, do tak zwanej „kleryckiej jednostki”, której zastrzony regulamin surowo zabraniał wszystkiego, co miało związek z praktykami religijnymi. Kary za niesubordynację były surowe i dosięgały często Jerzego Popiełuszkę, który miał odwagę bronić swych przekonań. Poza odwagą i stanowczością cechował go niezwykle spokojny, cierpliwy, skromny i przede wszystkim głęboka wiara w Boga.

W 1972 roku otrzymał święcenia kapłańskie.

z rąk Kardynała Wyszyńskiego i przez kilka lat prowadził duszpasterstwo w okolicach Warszawy, aby następnie osiąść w parafii św. Stanisława Kostki na Żoliborzu. Na mszach celebrowanych przez niego gromadzili się szukający prawdy i sprawiedliwości, zmęczeni i znudzeni propagandą sukcesu i fałszu lat siedemdziesiątych robotnicy i studenci tej dzielnicy. W 1978 roku był spowiednikiem zatrudnionych w stołecznej służbie zdrowia, a w czasie obydwu wizyt czuwał nad koordynacją działalności ekip medycznych zorganizowanych przez Episkopat.

Na terenie jego parafii znajdowała się Huta Warszawa. Na polecenie Kardynała Wyszyńskiego ksiądz Jerzy odprawiał w niej msze w czasie strajków w sierpniu 1980 roku. Ufano mu i kochano

go. Protestujący robotnicy czuli, iż był duchem z nimi.

Podczas stanu wojennego organizował w swoim kościele akcję pomocy dla aresztowanych i ich rodzin. Sporządził dokumentację represji, jakich dopuszczał się personel nadzorujący w obozach internowania. Od stycznia 1982 roku odprawiał każdego miesiąca msze święte w intencji ojczyzny, na których gromadziło się zawsze około 10 tysięcy wiernych.

Przed wyborami w 1983 roku, zgodnie z apelami podziemnej Solidarności, nawoływał wiernych do zbojkotowania politycznej farsy.

Działalność odważnego kapłana była solą w oku reżimu. Wielokrotnie ostrzegano Episkopat, że „kontynuowanie tego rodzaju działalności zmusi władzę do energicznych akcji, zwłaszcza przeciwko prowodyrom”.

Urząd na warszawskiej ulicy Rakowieckiej od dawna „zbierał materiały” przeciwko księdzu Jerzemu, które podczas toruńskiego procesu ujawnił częściowo pałający nienawiścią „pasjonat pracy”, Grzegorz Piotrowski: „Ksiądz Popiełuszko był kiedyś zwykłym kapłanem, a przez ostatnie dwa lata zajmował się również innymi sprawami. Firmował podziemne struktury, nadużywał funkcji duszpasterskich, podróżował po Polsce, podczas których to podróży działał na rzecz integracji podziemia... Ewidentnie naruszał prawo... Już w maju 1983 roku była możliwość schwytania księdza na gorącym uczynku z toną nielegalnych wydawnictw... Dysponował on 65-milionowym depozytem byłej Solidarności. Pieniądze te były wydawane za pokwitowaniami, na których widniały między innymi podpisy Zbigniewa Bujaka. Tymczasem dwa z nich były sfałszowane”. Z tej sumy zginęło podobno 4 miliony złotych, czym Piotrowski w stosownym momencie chciał obciążyć księdza Popiełuszkę.

W końcu „stosowne organy” przedsięwzięły rewizję w mieszkaniu księdza. Znaleźli dokładnie to czego szukali. 15 tysięcy ulotek Solidarności, amunicję – 38 naboju pistoletowych, 3 granaty z gazem łzawiącym, 2 petardy – akurat tyle, ile można ze sobą przynieść.

Ksiądz został zatrzymany na 24 godziny pod zarzutem nadużycia urzędu duchownego w celu politycznym. Następnie prowadzono przeciwko niemu postępowanie śledcze. 22 lipca uchylono postępowanie na podstawie amnestii. Ubecy płakali z żalu i rozczarowania.

26 sierpnia, podczas kolejnej mszy za Ojczyznę, ksiądz Popiełuszko domagał się ponownego wskrzeszenia i zalegalizowania Solidarności. Dla księdza była ona nie tylko związkiem zawodowym, ucieleśniała także dążenie do prawdy, praworządności i wolności.

Do problemu wolności ksiądz Jerzy powracał zresztą bardzo często. W jednym z kazania tak formułował swoje przemyślenia: „Bywało już w naszej historii, że w czasach, w których zawiodło narodowe sumienie, spotykały nas wielkie nieszczęścia. Jak tylko zaczynało się ono znowu bu-

dzić, jak tylko ponownie pojawiała się odpowiedzialność za dom ojczysty, przychodziło także narodowe odrodzenie. Tak było podczas narodowych powstań i tak było też za czasów Solidarności”.

Był cały czas przekonany, że mimo bolesnych doświadczeń ostatnich miesięcy naród jest nadal gotowy do ofiarnej pracy dla ojczyzny. Twierdził jednak, że takie zadanie może podjąć tylko taki naród, który nie czuje się, jak w „zorganizowanym więzieniu”. Nie da się bowiem mówić o odbudowie domu ojczystego, gdy nie przestrzega się praw człowieka i nie szanuje jego godności: „Aby zapanował pokój i spokój w Ojczyźnie musi zostać usunięte wszystko, co naród odczuwa jako nierówność społeczną. Czynić praworządność i upominać się o praworządność – do tego są wszyscy bez wyjątku zobowiązani. Często nasza moralna pasywność ośmiela bezprawie”. Kiedy indziej zaś słusznie zauważał, że: „Władza państwowa obniża swój własny autorytet, zubaża kulturowe życie narodu, degraduje wartości pracy. Dlatego wymaganie odwagi cywilnej leży zarówno w interesie władzy, jak i w interesie obywateli”.

Również moralnej uczciwości ksiądz Popiełuszko żądał od obydwu stron. Piętnował wszelkie przejawy dwulicowości: „Nie będziesz mógł w pełni zachować swej ludzkiej godności, jeśli w jednej kieszeni nosisz różaniec, a drugiej broszurę przeciwną ideologii. Nie możesz jednocześnie służyć i Bogu i Mamonie. Nie możesz jednocześnie służyć dwóm panom. Musisz dokonać wyboru”.

Jerzy Popiełuszko nigdy nie nawoływał do stosowania siły. „Nie walczyć przemocą – mówił – Przemoc nie jest oznaką siły, lecz słabości. Komu nie udało się zwyciężyć sercem lub rozumem, usiłuje zwyciężyć przemocą”. Wierzył, że najwspanialsze i najtrwalsze walki jakie zna ludzkość, to walki ludzkiej myśli. Wierzył, że idea, która jest zdolna do życia, pociągnie za sobą miliony.

Jego przekonanie o potrzebie wolności i sprawiedliwości, prawdy i uczciwości było taką ideą. To wystarczało już by w oczach partyjnych bonzów był człowiekiem niebezpiecznym.

Do pierwszego publicznego starcia z księdzem wydelegowano Jerzego Urbana. Urban, powszechnie w Polsce znienawidzony cynik, na codzień rzecznik prasowy Jaruzelskiego, dorabia sobie w soboty pichcąc pod pseudonimem Jan Rem stały felieton w tygodniku „Rzeczpospolita”. Tam też nazywał księdza Popiełuszkę: „Sawonarolą, który szerzy fanatyzm i nienawiść przeciw socjalistycznej Polsce podczas swych czarnych mszy, gdzie Michnik – obrońca praw obywatelskich – jest ministrantem i swoim diabelskim ogonem pociąga za sznurek”.

Jak łatwo się można domysleć był to dopiero początek. Prawie równocześnie odezwały się inne reżimowe gazety. Ubecja wzmożła terror psychiczny, nasiliły się listy z pogrózkami, anonimowe telefonij.

Zakończenie tej akcji wszyscy znamy.

Mając pełną świadomość, jakim celem politycznym służyć miał w zamyśle organizatorów spektakularny proces toruński, trudno przeoczyć to, co w nim było niezwykle, wykraczające poza ramy czterdziestoletnich doświadczeń życia w PRL: to, że w ogóle miał miejsce. Po raz pierwszy przed sądem stanęli mordercy, należący do państwowego aparatu przemocy. Bezpośredni sprawcy zabójstwa zostali skazani za swój czyn, opinia publiczna poznała ich imiona. Ten fakt przyjęty został na całym świecie ze zrozumiałą aprobatą, jako znaczący wyłom w dotychczasowej całkowitej bezkarności, jaką cieszy się tajna policja we wszystkich krajach komunistycznych. Co prawda kolejne „zmiany kursu” przynosiły także czystki w aparacie bezpieczeństwa, ale procesy odbywały się przy drzwiach zamkniętych i do wiadomości publicznej podawano – a i to nie zawsze – jedynie wyroki. Na sali sądowej w Toruniu dopuszczono do głosu nie tylko prokuratora i obrońców, ale także oskarżycieli posiłkowych. Wreszcie to, co zeznawali oskarżeni było bardzo pouczające. Odsłoniło się bowiem – wbrew oczywistej woli zespołu sędziowskiego – wiele z mechanizmów działania SB, metody i mentalność pracujących w niej szpicli.

Jaruzelski został do tego wyjątkowego kroku, jakim było dopuszczenie do procesu przy drzwiach otwartych, zmuszony przez szczególne okoliczności sprawy. Z jednej strony zamordowany ksiądz był postacią zbyt popularną, zbyt znaną w Polsce i w świecie, by jego zniknięcie dało się po prostu przemilczeć. Z drugiej – dzięki zdecydowaniu, zimnej krwi i odwadze Waldemara Chrostowskiego pozostał przy życiu naoczny świadek będący w stanie zidentyfikować morderców. Dalej wszystko potoczyło się już lawinowo.

Nie wszystkie polityczne morderstwa znajdowały swój epilog przed sądem. Ani odpowiedziałni za strzelanie do ludzi w Poznaniu w 1956 roku, ani też ci, którzy wydali rozkaz otwarcia ognia w Gdańsku, ani mordercy górników z Kopalni Wujek nigdy nie stanęli przed żadnym sądem.

Kiedy w czerwcu 1977 roku zginął krakowski student i współpracownik Komitetu Obrony Robotników Stanisław Pyjas, mimo że bardzo wiele wskazywało na morderstwo, bardzo szybko umorzono śledztwo. Ażeby nie było już jakichkolwiek wątpliwości, dwa miesiące później zginął również jedyny świadek w tej sprawie. I tym razem był to oczywiście zupełny „przypadek”.

Wydawać by się mogło, że ludzie zaangażowani w działalność opozycyjną w Polsce to najwięksi pechowcy na świecie. Jednak w ostatnich latach jednakże nawet Urbanowi coraz trudniej jest udowodniać tezę o „nieznanych sprawcach”.

Tylko od dnia ogłoszenia stanu wojennego w Polsce wyliczyć można 20 nazwisk osób których

dotknął indywidualny terror polityczny. Wszyscy oni zmarli w wyniku milicyjnych „przesłuchań” lub brutalnego pobicia przez ZOMO.

Śledztwo w większości tych spraw zostało już dawno umorzone. Nazwiska ofiar nie były tak znane, jak księdza Jerzego Popiełuszki.

• 15.12.1981: Tadeusz Kostecki. Zmarł we Wrocławiu po brutalnym pobiciu przez ZOMO.

• 27.2.82: Wojciech Ciesielewicz, 29 lat, zginął w kilka dni po zatrzymaniu przez milicję. Według diagnozy lekarzy przyczyną śmierci było silne uderzenie w głowę, które doprowadziło do powodującego zgon krwiaka mózgu.

• 2.4.82: Wojciech Cielecki, 19 lat. Zmarł w Białej Podlaskiej w wyniku pobicia przez milicję.

• 3.4.82: Stanisław Kot – inżynier z Bydgoszczy. Zmarł w trzy dni po aresztowaniu przez ZOMO. Podczas obdukcji zwłok stwierdzono złamania rąk i nóg, pęknięcie szczęki oraz liczne krwotoki wewnętrzne.

• 13.5.82: Tadeusz Matuszyński, 25 lat. Znalezione go martwego na schodach jednego z poznańskich kościołów. Przedpołudniem tego dnia został zatrzymany przez milicję i pobity pałką. Przyczyną śmierci był wylew krwi do mózgu.

• 18.5.82: Piotr Majchrzak, 19 lat. Również z Poznania. Uczeń. Zmarł w szpitalu. Kilka dni wcześniej przypadkowo zatrzymany przez ZOMO. Kiedy podczas pogrzebu jeden z fotografów usiłował robić zdjęcia, agenci SB wyrwali mu film z aparatu.

• Maj 82. W obozie w Kwidzynie służba więzienna usiłowała spędzić internowanych z dachu polewając ich silnym strumieniem wody. Jeden z więźniów został w ten sposób strącony z dachu. W wyniku upadku doznał obrażeń i zmarł.

• 6.9.82: Emil Barchański, 17 lat, uczeń liceum. Jego zwłoki zostały wyłowione z Wisły. Barchański wraz z dwoma kolegami został oskarżony o „rozpowszechnianie fałszywych informacji”. Podczas przesłuchania został brutalnie pobity. 30 sierpnia, podczas rozprawy, wycofał obciążające kolegów zeznania, oświadczając, że do ich złożenia został zmuszony biciem. Siedem dni później już nie żył. Przyczyny śmierci – nieznane.

• 21.11.82: Zbigniew Jurgielewicz, 29 lat. Zginął w Giżycku w wyniku obrażeń zadanych przez milicję.

(dokończenie na stronie 22)

Śledztwo zostało umorzone

W toruńskim procesie pilnie strzeżone tajemnice UB zostały po raz pierwszy wywleczone na światło dzienne. Nie mając innego wyjścia rzucono na pożarcie czterech oficerów. Postawiono ich przed jawnym sądem, ujawniono nazwiska, pokazano twarze.

KIM SA MODERCY?

Departament 4-ty MSW, odpowiedzialny za sprawy Kościoła i mniejszości narodowych w Polsce, kierowany był przez generała Zenona Płatka. Jego zastępcą, płk. Pietruszka – najwyższy rangą oskarżony w Toruniu, odpowiada za podżeganie i pomoc w przestępstwie. Nie czuje się winny. To tylko kapitan Piotrowski „stworzył sobie z niego kanwę swoich rozważań”

Adam Pietruszka – 47 lat, żonaty, jedno dorosłe dziecko. Studiował Prawo Administracyjne i jako dyplomowany jurysta nie lubi używania przemocy: „Kierując się rygorami humanizmu socjalistycznego przestrzegaliśmy zasady, że przeciwnika należy ograniczać, więcej – zwalczać, ale przy pomocy argumentacji politycznej, określonymi racjami, a nie siłą i pięścią. Nie mogło być mowy o tym także i dlatego, że podstawową metodą pracy operacyjno-rozpoznawczej jest zasada praworządności”. Do tej deklaracji należałoby jeszcze dodać, że od „argumentów politycznych” ubejcy zginęło w PRL tylko w ostatnich dwóch latach kilkanaście osób.

Pułkownik odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, złotym i srebrnym Krzyżem Zasługi jest oburzony przestępstwem! To przecież także przestępstwo przeciwko resortowi. Wszystko, co mówią pozostali oskarżeni to bezpodstawne, wysane z palca pomówienia! To przecież on zabiegał u przełożonych księdza Popiełuszki by wpłynęli na jego działalność – przenieśli na prowincję lub wysłali do Rzymu. Po cóż więc miałby go eliminować? Przecież to on, Pietruszka, był w posiadaniu kompromitujących kapłana informacji o wizytach w barach, o tajemniczej kobiecie z którą ten spotykał się w garsonierze, w cywilnym ubraniu...(Tego oszczerstwa nie da się już dzisiaj sprawdzić, bo gdy „owa kobieta wyszła za mąż” szlachetny stróż prawa kazał zniszczyć wszystkie notatki, gdyż..., „rodzina jest dla nas najwyższym dobrem”. Coś na ten temat miałyby zapewne do powiedzenia dzieci internowanych 13 grudnia 81 rodziców, przymusowo kierowane do Państwowych Domów Dziecka...)

On, Pietruszka zdawał sobie sprawę, że śmierć księdza byłaby polityczną prowokacją, jakże więc mógłby ją akceptować? Jego najbliższy współpracownik Piotrowski, obarczany przezeń winą za wszystko, tak mówi o swym przełożonym: „wymieniłem szereg jego zalet. Dzisiaj chciałbym dodać jeszcze jedną cechę, przez niektórych uważaną także za zaletę, a mianowicie – spryt. Wymieniłbym ją na pierwszym miejscu, gdyby A. Pietruszce

udało się zatrzeć wszystkie ślady.(...) Wyjaśnienia A.P. w kwestiach zasadniczych są kłamstwem”.

Istotnie Pietruszka był sprytny, ale daleko mniej inteligentny od swojego podwładnego.

Przerażenie ogarnia, gdy zeznają świadkowie – policjanci. Sypią się jeden po drugim dowody winy. Pietruszka nie może ich obalić. Irytuje się, wpada nieomal w panikę. Jednego ze świadków określa jako „sensata, który ze wszystkiego, co mu wpadnie w ręce leci do dyrektora”. Ale fakty mają to do siebie, że są wymowne.

Kapitan Grzegorz Piotrowski – kluczowa postać na ławie oskarżonych. Wysoki, przystojny, wysportowany (były koszykarz), 34 lata, żonaty, dwoje dzieci. W MSW pracuje od 9 lat. Odznaczony srebrnym Krzyżem Zasługi. Z wykształcenia matematyk, często odwołuje się do zasad logiki: „Z filozofii wiem, że jeśli jeden element w ciągu jest nielogiczny, to cały ciąg jest nielogiczny”. Powiada: „Zrobiliśmy coś nielogicznego”. Swoim kolegom nie może spojrzeć w twarz dlatego, że swoją „naiwnością i nieumiejętnością przewidywania doprowadził ich na ławę oskarżonych”. W stosunku do nich okazuje lojalność – podstawową zasadę aparatu. Wzory brał z najbliższych. Jego ojciec jest zasłużonym pułkownikiem SB, który działał w Łodzi w czasach stalinowskiego terroru. Matka wyrobiła sobie „mocne nazwisko” jako dyrektorka więzienia kobiecego w Fordonie k.Bydgoszczy. Kapitan nie stroni od kpiących, a nawet aroganckich wypowiedzi. Nie waha się wysunąć przed sądem hipotezy: „Nie znaleźlibyśmy się na ławie oskarżonych, gdyby prawo było prawem także dla księdza Popiełuszki”. Kilkakrotnie przekształca swoje zeznania w tyrady iście prokuratorskie, jakby zapominając jaki jest (a przynajmniej jaki powinien być) podział ról w tym procesie. Twierdzi, że działalność księdza Popiełuszki była przyczyną jego okresowych frustracji. „Płakaliśmy często ze złości i gorczy” – wyznaje powołując się na sytuacje, w których ewidentne – jego zdaniem – dowody łamania prawa nie prowadziły do epilogu w sądzie. Jego praca szła na marne! Wysiłki nie spotykały się ze zrozumieniem przełożonych! To doprowadziło tego – jak sam o sobie mówi – łagodnego, inteligentnego, pozbawionego kompleksów człowieka do tego, że wziął do ręki kołek, żeby tłuc do nieprzytomności osobę nie tylko znacznie od siebie słabszą fizycznie i chorą, ale także nie mającą praktycznie żadnych szans obrony. W sądzie twierdzi potem, że nigdy przedtem nie brał udziału w podobnej czy choćby zbliżonej akcji „ni-

gdy” też – od czasu szkoły podstawowej – nie uderzył człowieka. Tłumaczy: „Ani razu zadane Jerzemu Popiełuszcze uderzenia nie były biciem dla bicia. Nie otrzymałby w ogóle żadnego uderzenia, gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z planem”. Ale plan zawiódł, bo ofiara próbowała się bronić. Dla logicznie myślącego kapitana to był tylko nieszczęśliwy wypadek przy pracy. Przed sądem wzrusza się wspominając śmierć matki, która „umierała na jego rękach”, skarży się na własną cywilną śmierć, która jest przecież o wiele gorsza od fizycznej: „Wyrok w tej sprawie właściwie mnie nie dotyczy. Ja umarłem 19 października” – woła rozdzierająco.

Również mordercy mają dzieci. Piotrowski ma dwoje, w wieku 6 i 8 lat. Muszą one –boleje–żyć dalej pod innym nazwiskiem, by nie cierpieć hańby. Mający państwowe upoważnienia terrorysta czuje się pokrzywdzony, bo gwarancje z góry, które przyrzekł mu pułkownik, okazały się bluffem. To powinni sobie dobrze zapamiętać praktykujący koledzy Piotrowskiego, od Elby po Jangcy-Kiang.

Zdradzony, wywiedziony w pole, zaciągnięty przed trybunał, zdradza tajemnice służbowe. W pracy był odpowiedzialny za „odcięcie wpływów zachodnich centrów dywersyjnych na Popiełuszkę, odkrycie jego kontaktów z zachodnimi ambasadami, poznanie metod, którymi służby specjalne państw NATO wywierały wpływ na księdza”. Miał zapobiegać tworzeniu się „nielegalnych grup” w miastach prowincjonalnych. Teraz nie osłania już swoich przełożonych, nie szczędzi nawet swojego ministra Kiszczaka, ani jego zastępcy Ciastonia. Opisuje frustrację polskich ubeków. Otóż po amnestii więźniów politycznych poczuli się oni bezradni, lekceważeni, bezsilni. Przytacza przykłady: on melduje górze odkrycie niegdysiejszych powiązań biskupa Tokarczuka z gestapo (podejrzany w czasie wojny był jeszcze dzieckiem), a rezonansu nie ma! Donosi, że biskup Ulbinowicz przechowuje 80 milionów –własność zdelegalizowanej Solidarności– i zostaje wyśmiany! Cierpi, gdy słyszy słowa innego duchownego, że w porównaniu z ZOMO gestapo było przynajmniej elegancko ubrane... Podsuwa generałowi Kiszczakowi pisemną propozycję –wystąpienie przeciwko księdzu Popiełuszcze, a minister notuje na marginesie: „Chętnie, byłbym za tym, ale...”

Lecz w końcu poczucie obowiązku kapitana Piotrowskiego odnosi triumf. Operacja w celu „zapobieżenia dalszej działalności Popiełuszki” powiodła się. Ksiądz nie chciał być posłuszny, więc na zawsze musiał „zniknąć w Wisłę”.

A jak Piotrowskiego widzą współpracownicy i wspólnicy siedzący na tej samej ławie? Pietruszka przyznaje, że cechował go dynamizm działania i absolutne oddanie służbie. Ale „zdarzało się, że Piotrowski meldował o czymś, co już zrobił”. A nadgorliwych nie lubią nawet w UB. Toteż szef nie wykluczał zastąpienia go kimś innym na zajmowanym stanowisku naczelnika wydziału, tyle, że „nie było widoków na ściągnięcie równie dyspo-



Mordercy: Waldemar Chmielewski, Grzegorz Piotrowski i Leszek Pękala.

zyjnego i zaangażowanego pracownika”.

Gdzieś na marginesie padają dodatkowe informacje o tym świetlanym i ofiarnym pracowniku UB. Na przykład ta, że w sierpniu 1983 potrafił śmiertelnie kobietę jadąc samochodem. Śledztwo umorzono z powodu... „braku cech przestępstwa”. Niejasna jest również kwestia posiadania przez Piotrowskiego kolejno dwóch luksusowych samochodów – Audi i Fiata 132. Czyżby mordercy z UB byli aż tak dobrze płatni? Przy okazji wyszło na jaw, że pierwszy samochód zarejestrował na nazwisko teścia, gdyż jednocześnie starał się o przydział drugiego w miejscu pracy. Okazuje się, że i w życiu prywatnym kapitan Piotrowski potrafił „logicznie myśleć”.

Dla Pękali i Chmielewskiego był Piotrowski ideałem przełożonego. Pękala: „Uważałem go za człowieka, który błyskawicznie awansuje ze względu nie tylko na swoją odwagę, ale i rozwagę. To silna indywidualność”. Chmielewski: „wierzyłem swojemu przełożonemu bardziej niż ojcu, mimo że ojciec był zatrudniony w tej samej instytucji” (więc i w tej rodzinie zaszczytny zawód tajniaka przeszedł z ojca na syna). „Znając Piotrowskiego nie miałem żadnych podstaw do przypuszczeń, że może się to tak skończyć” (tzn. że się wyda?). Uchodził za człowieka o bardzo silnym charakterze, za człowieka, o którym się mówi, że ma otwarty łeb (...). Mam podstawy twierdzić, że naczelnik darzył mnie zaufaniem (...). Dlatego poczułem się potwornie oszukany i wykorzystany”.

Ale jego szef czuje dokładnie to samo. Wszakże z przekonaniem uspakajał swoich poruczników, że „kryminalistyka jest nasza” i że „nikt w żadnych okolicznościach nie będzie nas przesłuchiwał”. W powołanej komisji śledczej siedzą porządni ludzie! Nawet lepsze alibi niż zbieranie grzybów nie wydawało mu się potrzebne. Działał w poczuciu całkowitej bezkarności. Kto mu je gwarantował? System. Przecież zawsze się udawało!

Drugoplanowe role w tej krwawej zbrodni odegrali dwaj porucznicy – Leszek Pękala i Waldemar Chmielewski. Podkreślają oni wielokrotnie swoje pasywne uczestnictwo w zdarzeniach sprowadzające się do mechanicznego niemal wykonywania rozkazów kapitana. Kategorycznie zaprzeczają, jakoby mieli bić księdza przygotowanymi przez siebie w tym celu półmetrowymi żerdziami owiniętymi skrawkami flanelowej koszuli i cienkim sznurkiem.

Ale przyjrzyjmy się im bliżej.

Leszek Pękala – 32 lata, absolwent Wydziału Elektroniki Politechniki Wrocławskiej, kawaler, odznaczony brązowym Krzyżem Zasługi. Fachowiec w swoim zawodzie. Chciałoby się rzec perfekcjonista. Kpi sobie z nieudanego rzutu Piotrowskiego w pędzący samochód: „Z takiej odległości nie można było nie trafić”. Sam wykazuje inicjatywę: zakłada księdzu pętlę na szyję, doradza, co należy zrobić, aby głębiej wepchnąć knebel – po prostu zatkać ofierze nos, aby otworzyła usta! To Pękala proponuje zamianę skarpet wypełnionych

piaskiem na drągi i sam je wybiera. Na słowa Piotrowskiego „jak się ruszy, to strzelaj” odpowiada ochotczo „dobra!”. A potem nagle poczuł się „jakby bezsilny i osaczony”: „Powiedziałem sobie jednak, że muszę być posłuszny i nie stać mnie było na więcej”. W sądzie na pytanie swojego adwokata, dlaczego zdecydował się wskazać miejsce wrzucenia zwłok do wody, odpowiada: „Człowiek musi mieć pogrzeb...” Wzruszające. Tylko jak się ma do tego planowana sprzedaż z zyskiem samochodu księdza, którą to właśnie Pękala miał się zająć?

Trochę inny wydaje się być drugi porucznik. **Waldemar Chmielewski**, 29 lat, absolwent Wyższej Szkoły Milicyjnej w Szczytnie (mocna, dobra szkoła). Ojciec półtorarocznego dziecka, żona w ósmym miesiącu ciąży. W latach młodzieńczych ów politolog był harcerzem. Z tamtych czasów pamięta właśnie ów niemiecki bunkier na łuku Wisły, w którym można by ukryć księdza.

W czasie akcji molestuje swojego kapitana o pozbycie się ofiary. Ładowanie kamieni do worków nie kojarzy mu się z niczym strasznym, podobnie jak rozmowa w samochodzie (13.X) podczas której Piotrowski zastanawia się, czy istnieje możliwość zastrzelenia człowieka ze służbowego pistoletu w taki sposób, by nie można było zidentyfikować broni. Jednak – jak zeznał w sądzie Waldemar Chrostowski – gdy usłyszał „głuche uderzenie, jakby ktoś uderzył pałką w worek maki, na jego twarzy pojawiło się jakieś spięcie, jakby wstręt, skurczenie się w sobie, trudno to dokładnie określić”. Morderca z wrażliwością? Ale gdy padło polecenie przywiązania księdzu do nóg worka z kamieniami, posłusznie wyjął go z bagażnika. W decydujących momentach nie jest w stanie zaprotestować. Wierzy swojemu przełożonemu. Po wysłuchaniu aktu oskarżenia przyznaje się przed sądem do uprowadzenia, ale zaprzecza, jakoby brał udział w szczególnym udręczaniu księdza. Za szczególne udręczanie uznaje bowiem: kaleczenie, bicie, straszenie pistoletem. Kneblowanie i skucie kajdankami nie są według niego udręczeniem.

W dniach poprzedzających jego aresztowanie doświadczył na własnej skórze tego, co musiały przeżywać jego ofiary: „Wpadłem w panikę. Miałem uczucie, że jestem cały czas śledzony i obserwowany”. Przed sądem jego wypowiedzi są ledwie zrozumiałe, twarz mu drga w nerwowym tiku. Wywołuje to chwilami wstrząsające wrażenie. Kilkakrotnie obrady muszą zostać przerwane, bo oskarżony nie może wydobyć z siebie słowa. Przypomina to procesy stalinowskich morderców, którzy płacząc bili się w piersi i wyrażali skruchę.

Chmielewski zachowuje się tak, jakby usiłował zrzucić z siebie jakiś ogromny ciężar, stara się zachować choćby strzępy ludzkiej godności pozwalającej wierzyć, że nie wszystko w nim jest złe i wymagające potępienia: „W kilka minut po nadaniu komunikatu (o tym, że Piotrowski jest aresztowany – teraz trzeba było myśleć przede wszystkim o własnej skórze!) złożyłem oświadczenie, że

nieżyjącego księdza wrzuciliśmy do Wisły w rejonie Włocławka. Powiedziałem nieżyjącego, gdyż nie wyobrażałem sobie, aby jakikolwiek człowiek mógł wytrzymać tyle uderzeń w głowę (...) Musiałem w końcu to powiedzieć, bo z taką świadomością nie sposób żyć. Było to okrutne i potworne zdarzenie. Żaden rozsądny człowiek nie mógłby tego zachować dla siebie. To jest ponad ludzkie siły.

Tak mówił przed toruńskim trybunałem ten, który jest policjantem, synem policjanta, który zaufał szefowi policjantowi. Ten, który w pewnym

momencie zwątpił w policyjną solidarność.

Proces w Toruniu „obnażył błędy i wypaczenia” w łonie SB. Jego cel był bardzo wyraźny — usprawiedliwienie rządu przed narodem. Czterech funkcjonariuszy, którzy samowolnie dopuścili się zbrodni, zostało ukaranych. Była to bolesna operacja, ale konieczna — zgodnie z teorią „mniejszego zła” lansowaną przez Jaruzelskiego. Większym złem byłaby bowiem utrata kontroli reżimu nad aparatem wykonawczym mogąca doprowadzić do tego, że kiedyś znów jakiś pułkownik i trzech jego ludzi „fałszywie zinterpretują działanie partii”.

ŚLEDZTWO ZOSTAŁO UMORZONE

(dokończenie ze strony 18)

● 28.11.82: Wacław Kamiński. Pobity przez policję, zmarł w Gdańsku.

● 31.3.83: Ryszard Kowalski, przewodniczący NSZZ Solidarność Huta Katowice. Wkrótce po zwolnieniu z więzienia ginie wszelki ślad po Ryszardzie Kowalskim. Kilka tygodni później znaleziono jego zwłoki w rzece.

● pierwsze dni maja 83: napad kilkunastu bandziorów, zidentyfikowanych później jako pracownicy SB, na Komisję Pomocy dla Uwięzionych pracującą w kościele św. Marcina w Warszawie. Członkowie Komitetu zostali straszliwie pobici, wywiezieni poza miasto i tam wyrzuceni z samochodów. Wśród pobitych: poetka Barbara Sadowska.

● 19.5.83: Grzegorz Przemyski, 18 lat. Syn Barbary Sadowskiej. Pobity podczas przesłuchania, zmarł dwa dni później. W jego pogrzebie wzięło udział tysiące ludzi. Nad grobem przemawiał ksiądz Jerzy Popiełuszko.

● Koniec 1983: Andrzej Gąsiorowski, pracownik Instytutu Jądrowego w Warszawie i członek Solidarności. Jego zwłoki znaleziono na torach kolejowych, wykazywały ślady ciężkiego pobicia.

● luty 1984: Piotr Bartoszcze, działacz Solidarności Wiejskiej. Wykazujące ślady brutalnych tortur zwłoki Bartoszcze znaleziono w okolicach Torunia. W tym rejonie nie był to pierwszy wypadek „zaginięcia” działacza opozycyjnego, stąd przez wielu obszar pomiędzy Bydgoszczą, Toruniem i Włocławkiem nazywany jest często „polskim trójkątem bermudzkim”.

KOLEJNY ATAK PROPAGANDY NA KOŚCIÓŁ

Jeszcze nie przebrzmiały na dobre echa procesu w Toruniu, gdy rzecznik prasowy Jaruzelskiego wystąpił z kolejnym atakiem na przedstawicieli Kościoła. Ta zmasowana działalność propagandowa nie jest w zasadzie niczym zaskakującym. Kościół znajduje się pod ostrzałem prasy reżimowej już od dawna, a wystąpienia mordercy księdza Popiełuszki, kapitana Piotrowskiego i obywateli prokuratorów na toruńskim procesie były kolejnym dowodem, że w tym aspekcie polityki Jaruzelskiego nie zachodzą żadne zmiany.

I rzeczywiście. 19 lutego, podczas kolejnej konferencji prasowej z dziennikarzami zagranicznymi, Jerzy Urban znów zaatakował imiennie kilkunastu księży.

Od czasu rozwiązania Solidarności, Kościół stał się jedyną instytucją posiadającą zaufanie społeczne. W rzeczywistości dla wielu ludzi świątynia jest nie tylko domem modlitwy, ale również tym miejscem, gdzie podstawowe wartości moralne nie straciły swego znaczenia, gdzie można szukać pomocy i wsparcia, prawdy, otuchy. To poprzez instytucje kościelne rozdzielane były (i są nadal) napływające z całego świata dary dla najbardziej potrzebujących i potrzebujących wsparcia. To Kościół uj-

mował się za internowanymi i ułatwiał przetrwanie ich rodzinom. To w Kościele znajdowali pomoc wyrzuceni z pracy działacze Solidarności. To w kościołach występowali artyści nie mogący moralnie zaakceptować współpracy z nasyonami wroga i fałszywą propagandą środkami masowego przekazu. To w Kościele tę listę można by ciągnąć jeszcze bardzo długo.

Ta działalność Kościoła jest dla partii ciągłym stresem. I to nie tylko dlatego, że Kościół dzięki swej określonej i tak zdecydowanej postawie cieszy się dzisiaj większym zaufaniem niż kiedykolwiek w przeszłości, że społeczeństwo polskie, w przeciwieństwie do tego co można obserwować w wielu innych państwach, staje się coraz bardziej religijne, kościoły są pełne, a co roku zwiększa się liczba nowych powołań kapłańskich. Stres partii i jej gorączkowe miotanie się bierze się przede wszystkim stąd, że nie czuje się ona na siłach by wypowiedzieć Kościołowi za którym stoi cały naród otwartą wojnę. Stąd podjazdowe utarczki, ataki na poszczególnych, najbardziej aktywnych księży, prowokacje, stosowanie przemocy. Ale ta przemoc — jak mówił ksiądz Popiełuszko — jest oznaką słabości, nie siły.

HOMILIA — dokończenie ze str. ostatniej

więzieniach tylu sióstr i braci naszych z powodu odmienności ich przekonań. A co za tym idzie — tęsknota dzieci za uwięzionymi ich matkami czy ojcami, łzy żon oczekujących na powrót mężów i matek na powrót synów czy córek, rozbite rodziny, ich niepokoje i udręki.

Nie służy pojednaniu urządzanie łapanek wśród ludzi, którzy w nastroju powagi wracają z nabożeństwa do rodzinnych domów.

Nie służy pojednaniu demonstracja siły na ulicach miasta, w pobliżu modlących się w kościołach wiernych, czy przywożenie prowokatorów w okolice kościoła, jak to miało miejsce przed miesiącem w naszej dzielnicy.

Nie służy pojednaniu ciągły brak dla młodzieży takich warunków, w których mogła by ona realizować kształtowanie osobowości według obranych zasad i uczyć się życia społecznego w organizacjach społecznych odpowiadających jej światopoglądowi.

Nie służą pojednaniu posiekane dekretami o stanie wojennym, cenzurowane artykuły, zwłaszcza w prasie prawdziwie katolickiej, takiej jak „Tygodnik Powszechny”, „Gość Niedzielny” czy „Niedziela”.

Nie służą pojednaniu dokumenty podpisywane przez magistrów, kierowników kadr, w których jest napisane, że za zorganizowanie nowych związków w zakładzie proponuje się działaczowi „Solidarności” dwukrotnie wyższe zarobki, a kiedy ten chce zostać wierny swojemu sumieniu, otrzymuje pisma, na mocy którego natychmiast jest przeniesiony na niższe stanowisko i wysłany do pracy w zakładzie na przeciwległym końcu Warszawy.

Ale dość przykładów.

Te wszystkie krzywdy wyrządzone Narodowi trzeba naprawić i zasiąść do stołu w celu wspólnego poszukiwania dróg wyjścia.

W pojednaniu musi być jeden wspólny cel: dobro Ojczyzny i poszanowanie ludzkiej godności.

Trzeba wyciągać ręce do pojednania w duchu miłości, ale i w duchu sprawiedliwości, bo jak mówił Ojciec Święty przed pięciu laty, nie może istnieć miłość bez sprawiedliwości. Miłość przerasta sprawiedliwość, a równocześnie znajduje potwierdzenie w sprawiedliwości.

Naród chce pojednania, chce ugody, ale jednocześnie chce gwarancji, nie słownych deklaracji.

Chce gwarancji, że znowu nie będzie oszukany, że jego trud i praca nie będą zmarnowane. Chce, by ugoda nie była kapitulacją, rezygnacją z ideałów, tęsknot i wiary w lepszą, godniejszą przyszłość.

Wielki Tydzień i święta Wielkanocne niech będą czasem modlitwy dla nas, którzy w górę unosimy krzyże naszego cierpienia, krzyże zbawienia, znak zwycięstwa dobrego nad złem, życia nad śmiercią, miłości nad nienawiścią.

A dla was, bracia, którzy w sercach chowacie opłakaną nienawiść, niech będzie czasem refleksji, że przemoc nie zwycięża, choć może przez jakiś czas triumfować. Mamy na to najlepszy dowód spod krzyża Chrystusa. Tam również była przemoc, była nienawiść do Prawdy. Ale przemoc i nienawiść zostały pokonane przez aktywną miłość Chrystusa.

Bądźmy więc silni miłością, modląc się za braci błądzących, nie potępiając nikogo, a piętnując i demaskując zło.

Prosimy słowami Chrystusa, jako Jego wyznawcy, słowami, które On wypowiedział z krzyża: „Boże, Ojczyźnie odpuść im — bo nie wiedzą co czynią”. A nam daj Chryste większą wrażliwość na działanie miłości niż siły i nienawiści. Amen.

PRZED BŁOGOSŁAWIENSTWEM

Przypominamy wszystkim, że Msze święte za Ojczyznę są odprawiane w naszej świątyni od października 1980 roku w każdą ostatnią niedzielę miesiąca. Ponieważ nieznani nam sprawcy usiłowali ostatnio przez fałszywe plakaty zmienić ten termin, oświadczamy, że nie będzie na mieście żadnych ogłoszeń o naszej Mszy św. Wszelkie plakaty będą więc prowokacją. A u nas Msze św. za Ojczyznę będą odprawiane nadal w ostatnią niedzielę i w kwietniu i w maju, i w następnych miesiącach.

Zwracam się do wiernych, by nie dawali posłuchu prowokatorom, którzy są wśród nas i próbują nawoływać do manifestacji czy śpiewu. Ustawiamy się, że po nabożeństwie poza kościołem będą śpiewać i wznosić okrzyki tylko prowokatorzy. Zachowując spokój i opanowanie zobaczymy, kto to jest i ilu ich jest. Dajmy więc świadectwo naszej dojrzałości — niech prowokatorzy odejdą zawiedzeni.

A wy, bracia, którzy przysłyszcie z polecenia innych, jeżeli chcecie służyć prawdzie i uszanować również swoją godność, pozwólcie wiernym rozejść się w spokoju do domów.

KURSY INTEGRACYJNE

językowe, dla młodzieży cudzoziemskiej, która ukończyła szkołę podstawową w swoim kraju, organizowane przez władze szkolne zuryskie.

Informacji bezpośrednich udziela: 1. dla młodzieży do lat 16 — Sekretariat des Werkjahres, Bullingerstr. 50, 8004 Zürich, (Tel. 01/ 44 43 28)

2. powyżej lat 16 — Integrationskurs, Jugendamt der Stadt Zürich Kanzleistr. 56, 8004 Zürich, (Tel. 01/ 242 50 29). Ogólnie może poinformować Tadeusz Wojnarski, (Tel. 01/ 40 29 75).

Zgłoszenia należy składać możliwie bezzwłocznie, najpóźniej do 25 marca 1985 r.

REDAKCJA NASZEJ GAZETKI: T. Wojnarski
Opfikonstr. 158 — CH 8050 Zürich

PREZES TOW. DOM POLSKI w ZURYCHU:
Ela Sarna, Im Isengrind 35/127 — 8046 Zürich

Datki na Naszą Gazetkę proszę wpłacać na konto pocztowe nr 80 — 30 246 Zürich

Verein POLENHAUS
Bulletin NASZA GAZETKA

HOMILIA

Msza święta jest najdoskonalszą formą modlitwy, którą zanoszą lud wierny do Boga — Ojca ludów. Przez naszą modlitwę chcemy służyć Bogu i ludziom. Chcemy Boga włączyć w trudne i bolesne sprawy naszej Ojczyzny.

Służyć Bogu to szukać dróg do ludzkich serc. Służyć Bogu to mówić o złu jak o chorobie, którą trzeba ujawnić, aby móc leczyć. Służyć Bogu to piętnować zło i wszelkie jego przejawy.

Przeczytany przed chwilą opis męki i śmierci naszego Zbawiciela ukazuje nam, ile Chrystus musiał wycierpieć, znieść poniewierki i upokorzeń od tych, którzy nie chcieli przyjąć słów prawdy przez Niego głoszonej, od tych, którzy wydali na niego niesłuszny wyrok śmierci przez ukrzyżowanie. Taka była nagroda, zgotowana Chrystusowi za Jego miłość i poświęcenie dla dobra ludzkości. Ale zapomniano, ale nie chciano zrozumieć, że Miłość i Prawdę można ukrzyżować, ale nie można zabić. Tam, na krzyżu Prawda i Miłość odniosły triumf nad złem, nad nienawiścią, nad śmiercią.

Jesteśmy uczniami Chrystusa i dlatego rozumiemy, jak bardzo brak prawdy i triumf nienawiści w naszej Ojczyźnie stoi na przeszkodzie wspólnego budowania domu ojczyńskiego, stoi na przeszkodzie dialogu i porozumienia między braćmi.

Ojciec święty na Mszy świętej w Stolicy Salwadoru powiedział że:

„Przeciwko dialogowi jest zaplanowane taktyczne kłamstwo, które nadużywa człowieka, używa fałszywych form propagandowych rozjadrza agresywność. Dialog staje się bezowocny, kiedy strony kierują się ideologiami, które są przeciwne godności ludzkiej, które w walce widzą główny motor historii, a w sile źródło prawa, a w podziale ludzi na przyjaciół i nieprzyjaciół ABC polityki. Dialog nie jest chwytem taktycznym, ale szczerą wysiłkiem, by dać odpowiedź i doprowadzić do zgody pośród strapienia, bólu i zmęczenia tak wielu ludzi spragnionych pokoju...”

Nie ulega wątpliwości, że ogromna większość społeczeństwa oczekuje porozumienia i ugody, ale na uczciwych warunkach.

O ugode społeczną wołali do początku stanu wojennego biskupi polscy, ale oni też od samego początku określali jasno i wyraźnie warunki owej ugody. Zdecydowanie potępiali to wszystko, co sprzeciwia się porozumieniu.

I tak: już 15 grudnia 1981 roku biskupi stwie-

rdzili, że decyzja władz o wprowadzeniu stanu wojennego stanowiła cios dla społecznych oczekiwań i nadziei na to, że drogą porozumień można rozwiązać istniejące problemy naszej Ojczyzny.

Konsekwentnie postulowali biskupi potrzebę dialogu i wykluczenia radykalnych środków, w wyniku których dochodzi do pobicia, utraty zdrowia lub życia.

Przypominali wielokrotnie, że związek zawodowy „Solidarność”, broniący praw ludzi pracy, jest konieczny do przywrócenia równowagi życia społecznego.

W lutym ubiegłego roku pouczali, że stronami ugody społecznej jest władza rządząca i wiarygodni przedstawiciele zorganizowanych grup społecznych, w tym mającego szeroką aprobatę społeczną NSZZ „Solidarność”.

A gdy aktem bezprawia 8 października 1982 zawieszone dotąd organizacje związkowe zostały zniesione, Ksiądz Prymas przemawiając w Niepokalanowie stwierdził, że bez konsultacji z klasą robotniczą, z którą Kościół jest tak bardzo związany, został zniesiony największy element podmiotowości społecznej, a więc poważny partner autentycznego dialogu, i że przez delegalizację „Solidarności” jako organizacji związkowej, został zadany społeczeństwu dotkliwy ból.

Zdecydowanie Kościół potępił nadużycie władzy, jakie miało miejsce wobec internowanych w Kwidzynie, oraz próby odsyłania zdrowych internowanych do zakładów psychiatrycznych.

Ostro potępione były fakty zmuszania do podpisywania deklaracji niezgodnych z sumieniem.

A więc z jednej strony piętnowanie zła, przemocy, z drugiej jednocześnie wołanie o ugode społeczną, o pojednanie, o dialog.

Co dzisiaj ciągle przeszkadza, co nie służy pojednaniu?

Wielu obecnych w świątyni mogłoby wymienić cały szereg przyczyn utrudniających narodowe pojednanie.

Na pewno nie służy pojednaniu gorycz bezsilności i upokorzenia, jakiego doznaje wiele naszych siostr i braci na codzień.

Nie służy pojednaniu procesy ludzi, którzy są demokratycznie wybranymi przedstawicielami świata pracy. Jeżeli są winni, mogą odpowiadać tylko przed tymi, którzy ich wybrali i im zaufali.

Nie służy pojednaniu przetrzymywanie w (dokończenie na stronie poprzedniej)